



FAYRENE PRESTON  
AMETYSTOWA  
MGLA



## ROZDZIAŁ 1

Ciemność i burza oślepiały ją i ogłuszały. Była wyczerpana i obolała, potknąwszy się o coś twardego, krzyknęła i instynktownie wyciągając rękę, zraniła się o chropowatą korę.

Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Nie była w stanie myśleć, nic nie widziała. Docierało do niej tylko jedno — musi iść naprzód.

Błyskawica rozdarła ciemności i zaraz potem eksplodował piorun. Niebo zdawało się pękać. Kiedy gałąź uderzyła ją w twarz, zatoczyła się do tyłu. Nie upadła jednak i utrzymawszy równowagę, mozolnie ruszyła dalej.

Była kompletnie zdezorientowana, ale wiedziała jedno: nie mogła pozwolić złapać się w pułapkę. Niezależnie od wszystkiego, musiała uwolnić się od ciemności i burzy.

Światła nie spostrzegła aż do momentu, kiedy niemalże dotarła do jego źródła.

Burza nacierała na chatę. Brady McCulloch, nie zważając na szalejący na zewnątrz żywioł, dorzucił drewna do ognia.

Usiadł na tapczanie i sięgnął po kawę. Obok leżała otwarta książka. Płomienie w murowanym kominku migotały, sycząc i iskrząc się. Było ciepło.

Intensywność i gwałtowność burzy zawsze sprawiały Brady'emu przyjemność. Łączyły w sobie piękno i pasję z ogromną zdolnością niszczenia. Burze były dla niego uosobieniem życia.

Grzmot z narastającą siłą przetoczył się przez niebo i wybuchnął z mocą, która spowodowała drżenie szyb. Na Bradym nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia, życie też nie robiło na nim wrażenia. Już nie.

Założył nogę na nogę i pociągnął łyk kawy. Według prognozy pogody front burzowy mógł przez jakiś czas utrzymać się nad okolicą. Sprzyjałoby to jego pracy. Chciał stworzyć coś pięknego i żywego właśnie w tej naładowanej elektrycznością atmosferze.

Leżący u jego stóp seter irlandzki, Rodin, podniósł nagle łeb i spojrzał w kierunku drzwi.

— O co chodzi, stary?

Rodin rzucił swemu panu przelotne spojrzenie i z powrotem utkwiał wzrok w drzwiach frontowych. Brady zachichotał.

— Lubisz towarzystwo, prawda? Przykro mi, że go przy mnie nie masz. Złą osobę wybrałeś na pana.

Rodin, najwyraźniej nie zainteresowany poglądami swego właściciela na jego psie życie, podreptał w kierunku dużych sosnowych drzwi. Przez chwilę obwąchiwał je, a potem spojrzał błagalnie na Brady'ego.

— Mówię ci, że nikt nie przyjdzie do nas dziś wieczorem.

Rodin utkwił w nim jednak niezwykle intensywne spojrzenie.

Brady westchnął:

— Nie zaznasz spokoju, dopóki nie otworzę drzwi, co? W odpowiedzi Rodin zamachał ogonem.

— Dobrze stary, wygrałeś.

Brady odstawił kubek i podniósł się. Z rozbawieniem pomyślał, że nieczęsto dogadza swemu psu. Rodin dotrzymywał mu towarzystwa i darzył przywiązaniem, w zamian wymagając bardzo niewiele. Był dla Brady'ego wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Odryglował zamek i otworzył drzwi.

Błyskawica, oderwawszy się od nieba, uderzyła w szczyt pobliskiej sosny, rozszczepiając ją na pół.

W jego ramiona osunęła się kobieta. „Co, u diabła?” — pomyślał.

Po chwili osłupienia zaczął działać instynktownie. Na wpoi wniósł, na wpół wciągnął ją do chaty i położył na podłodze. Zatrzasnął drzwi. Potem odwrócił się i obejrzał nieoczekiwanego gościa.

Miała ciemne włosy i od stóp do głów przesiąknięta była wodą. Olbrzymi guz pod lewym okiem sięgał linii włosów i przybierał już fioletową barwę. Cała twarz była podrapana.

Rodin, zadowolony z przybycia gościa, węszył przy jej szyi i włosach.

— Siad, Rodin.

Brady ukląkł przy kobiecie, aby sprawdzić jej puls. Był wyraźny, choć trochę nierówny. Dziękując Bogu, delikatnie unióś kobietę i zdjął z niej płaszcz. Kremowa jedwabna bluzka i płócienne spodnie oblepiały wspaniałą figurę. Położył ją z powrotem. Oczywiście było, że miała wypadek, sprawdził więc szybko, czy nie ma jakiegoś złamania. Na szczęście jego obawy okazały się nieuzasadnione. Pomyślał, że musi być w szoku, a więc potrzebuje ciepła i suchego ubrania.

Podniósł ją z łatwością i zaniósł po schodach do sypialni. Sam zdjął z niej ubranie, a po krótkim wahaniu również koronkową bieliznę.

Zobaczył skórę białą i przezroczystą, co sprawiło, że pomyślał przez chwilę o alabastrze. Była również zimna, więc szybko przykrył ją kołdrą.

Czuła na ciele jego silne dłonie i ich pewny dotyk nie wywoływał w niej strachu. Kiedy zdjął całe ubranie z obolałego ciała, poczuła ulgę.

Słyszała burzę, ale nie czuła już uderzeń wiatru i deszczu. Kłujący ból ciągle rozsadzał głowę, ale to nie było teraz najważniejsze. Najważniejszy był on. Wielkim wysiłkiem woli otworzyła oczy i zobaczyła pochyloną nad sobą twarz o aroganckich i grubych rysach. Wyglądała, jakby była z brązu pokrytego złozeniami i zmarszczkami. A kiedy spojrział na nią, stwierdziła, że szare oczy były zdecydowane. Twarz ta uspokoiła ją. Ten człowiek powstrzyma burzę, przy nim będzie bezpieczna.

Jej oczy zaskoczyły Brady'ego. Były piękne, ametystowe. Całkowita ufność, z jaką na niego spoglądały, zaszokowała go. Podobnie jak jej słowa:

— Dzięki Bogu, znalazłam cię — wyszeptwała.

Z zaskoczeniem stwierdził, że odezwała się w nim czułość, a myślał, że od dawna to uczucie jest mu obce. Usiadł na brzegu łóżka i poprawił koldrę.

— Szukałaś mnie?

— Tak.

Szybko zaczął grzebać w pamięci i czułość zniknęła.

— Dobrze, znalazłaś mnie. I co teraz?

Na twarzy kobiety pojawił się cień uśmiechu. Nieskomplikowana słodycz tego uśmiechu zirytowała Brady'ego, nawet kiedy uświadomił sobie irracjonalność tego odczucia. Jednakże po raz pierwszy od dawna ktoś złożył mu niezapowiedzianą wizytę.

— Jak mnie znalazłaś?

Zmieszana zmarszczyła brwi, a w oczach można było dostrzec ból, jaki sprawił jej ten odruch.

— Mniejsza o to. To bez znaczenia — odpowiedział sobie. — Na próżno przeszłaś to piekło.

— Naprawdę? Szybko kiwnął głową.

— Jak tylko będzie to możliwe, wrócisz tam, skąd przybyłaś.

— Tak — jej głos wyrażał całkowitą aprobatę.

— Co się właściwie stało? Straciłaś w czasie burzy kontrolę nad samochodem?

— Burza — wyszeptwała. — Ale teraz już jestem bezpieczna.

Zatrzepotała powiekami i zamknęła oczy, pozostawiając go bez odpowiedzi. Sprawiała wrażenie bardzo wątlej i kruchej. Zastanowił się, jak poważne mogą być jej obrażenia. Potem zaklął — mógłby tak zastanawiać się do przyszłego tygodnia, a jej trzeba było pomóc.

Ruch materaca, kiedy podnosił się, obudził ją. Wpadła w popłoch. Chwyła go za rękaw koszuli.

— Nie zostawisz mnie, prawda?

Strach, jaki zobaczył w oczach kobiety, przygasił w nim wszystkie inne uczucia. Z niezwykłym dla niego współczuciem położył swoją dłoń na jej dłoni.

— Miałem tylko iść po rzeczy dla ciebie.

— Rzeczy?

— Żeby cię umyć, wytrzeć i dać coś do ubrania.

— Ach, tak—z trudem walczyła z ociężałymi powiekami. — Boli mnie głowa.

— Wiem. Przyniosę też worek z lodem na tego guza, powinien ulżyć trochę w bólu. Ale myślę, że środki przeciwbólowe nie byłyby na razie wskazane.

Przyjęła jego osąd bez pytań.

— Cokolwiek powiesz — zamykając oczy ocienione długimi i gęstymi rzęsami, szepnęła: — Szybko wrócisz, prawda?

— Tak.

Pomimo obietnicy stał jak przyrośnięty do miejsca, nie mogąc oderwać od niej oczu. Było w niej coś, co go niepokoiło. Co to było? Przez piętnaście lat izolował się od świata i w rezultacie nie miał do czynienia z problemami, których nie potrafiłby rozwiązać. No i oczywiście nigdy wcześniej burza nie przyniosła mu na próg kobiety. Kobiety z ametystowymi oczami.

„Do diabła!” W końcu dotarło do niego, że jest ranna i potrzebuje opieki lekarskiej. Takie to proste. Chciałby, żeby równie prosto mógł jej pomóc.

W normalnych warunkach wsadziłby ją do swojego jeepa i zabrał do doliny, do szpitala. Niestety, w okolicy był tylko jeden most, który łączył wzgórze z drogą prowadzącą w dół i prawdopodobnie został zniszczony przez burzę. Nie zdziwiłby się, gdyby okazało się, że wypadek zdarzył się właśnie z powodu mostu lub zalanej drogi.

„Och, jakże jest piękna” — pomyślał, zły jednocześnie, że wywiera na nim aż takie wrażenie. Gdyby nie zadrapania, jej skóra byłaby bez skazy, gdyby nie bladość, zupełnie naturalna w jej sytuacji, mlecznobiała skóra poleniałaby. Poza tym, nigdy nie widział oczu, które tak przypominałyby ametyst

Zatrzymał się. Czy go szukała? Jeśli tak, to dlaczego? Na przestrzeni lat liczba ludzi, którzy sporadycznie odwiedzali go w samotni, aby zdobyć jakiś niewielki owoc jego pracy, zmniejszyła się. W końcu przestali go nachodzić. Więc dlaczego teraz? Dlaczego ona? Czego chciała od niego? A jeśli go nie szukała, to dlaczego dziękowała Bogu, za to, że go znalazła?

Jej nagły jęk sprawił, że odsunął od siebie te pytania i pobiegł na dół.

Nie było go tylko chwilę, ale kiedy wrócił, znowu nie spała. Ręce zaciskała kurczowo na brzegach kołdry. Powiodła za nim wzrokiem, kiedy niósł tacę do stolika nocnego.

— Tak się cieszę, że wróciłeś — powiedziała miękko.

— Naprawdę?

Skinęła głową i skrzywiła się z bólu.

— Lepiej się nie ruszaj. Jeśli czegoś potrzebujesz, powiedz mi.

Sięgnął po ręcznik, zanurzył w dzbanku z ciepłą wodą, wykręcił i zbliżył do jej twarzy:

— Postaram się zrobić to tak delikatnie, jak tylko potrafię — powiedział, po czym zaklął, usłyszawszy jęk. — Przepraszam, ale muszę to zrobić.

— Tak, wiem — wyszeptła.

— Nie wysilaj się na odwagę — odrzekł zgryźliwie, podświadomie broniąc się przed wrażeniem, jakie zrobił na nim jej ból.

Kiedy ostre słowa Brady'ego dotarły do niej, twarz kobiety wykrzywił grymas.

Wziął ręcznik i delikatnie wytarł długie, czarne włosy. „Jak heban” — pomyślał z roztargnieniem, po czym szybko przywołał się do porządku. Jednak widok jej wykrzywionej bólem twarzy sprawił, że zmiękł.

— Chcę, żebyś była zupełnie sucha, żebyś się nie przeziębiła. Jak tylko naprawią most, wyjedziesz.

— Most?

— Tak, stary, drewniany most. Musiałś go przejechać, aby tu dotrzeć. Za każdym razem, kiedy jest burza, rzeka podnosi się i zrywa most. — Odłożył ręcznik i poszedł do pracowni, żeby poszukać jakieś starej miękkiej koszuli flanelowej.

— Czy właśnie to się wydarzyło? Burza zaskoczyła cię na moście?

Znalazł koszulę w niebiesko-czarną kratę i wrócił do pokoju. Znowu miała zamknięte oczy.

— Jeśli to właśnie się wydarzyło — powiedział, już teraz sam do siebie — to miałaś cholerne szczęście, że żyjesz. Prawda jest taka, że przeżyć taką burzę na tej górze byłoby nie lada wyczynem dla każdego.

Potrząsnął głową rozgoryczony i podszedł do łóżka. Założył jej koszulę i zapinał właśnie guziki, kiedy znowu otworzyła oczy. Pod wpływem spojrzenia ametystowych oczu poczuł, że jego palce stają się niezdarne. Spostrzegł, że już od dłuższej chwili męczy się z jednym ze środkowych guzików. Jego dłoń przesunęła się przez miękką wypukłość piersi kobiety.

Czekała cierpliwie, bez najmniejszej oznaki zażenowania, aż da sobie radę z tym guzikiem i przejdzie dalej. Nie przeszkadzało jej, że zupełnie

obcy mężczyzna rozebrał ją, a teraz ubiera. Zirytowała go ta myśl, ale zaraz uświadomił sobie, że ona przecież nie ma wyboru.

— Ile masz psów? — zapytała.

Spojrzał przez ramię na Rodina. Seter, leżąc pod kominkiem, w jedynym miejscu, skąd miał nieprzesłonięty widok na gości, obserwował wszystko z zainteresowaniem.

— Ile widzisz?

— Jednego. No, właściwie półtora.

— Podwójne widzenie — wymamrotał.

— Ale ciebie widzę tylko jednego. — Przyglądała mu się uważnie. — Masz hardą twarz.

Zapiął wreszcie koszulę i przykrył ją kołdrą.

— Dziwię się, że w ogóle jesteś w stanie myśleć. Sądząc po rozmiarach guza, musi cię bardzo boleć.

— Boli — powiedziała bez emocji. — Jak się wabi pies?

— Rodin. — Położył jej łagodnie łód na czole. — Porozmawiamy jutro, jak będziesz się lepiej czuła. Na razie muszę ci pomóc jakoś przetrwać noc.

— Potrafisz to zrobić — zacisnęła palce na jego nadgarstku. — Tak się cieszę, że cię znalazłam.

— Tak, już to mówiłaś.

Gdy zaczął wstawać, ametystowe oczy rozszerzyły się ze strachu, a siła jej uścisku zaskoczyła go.

— Mogę zadać ci pytanie?

Ostrożnie skinął głową. Nie lubił osobistych pytań, szczególnie, kiedy nie wiedział, co pytający ma zamiar zrobić z odpowiedzią.

— Kim jestem?

## ROZDZIAŁ 2

Burza grzmiała na zewnątrz. Brady popatrzył na nią w osłupieniu. — Co powiedziałaś?

— Kim jestem?

— Nie wiesz?

— Nie.

— Amnezja? — W jego tonie dawało się wyczuć niedowierzanie. — Żartujesz.

— Nie wiem, kim jestem.

Widząc panikę w jej oczach i słysząc strach w głosie, poczuł nie znaną mu do tej pory gorycz bezsilności.

— Wspaniale, po prostu, wspaniale.

— Przepraszam — puściła jego rękę i pozwoliła jej opaść bezwładnie.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

— Dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę.

— Wiesz, gdzie się znajdujesz?

— Nie — jej głos załamał się.

— Jesteś w Arkansas, w Ozarks, około 40 mil od Samsonville.

— Aha.

— Czy to ci coś mówi, przypomina?

— Nie — wbiła paznokcie w koldrę.

— Pamiętasz coś z wypadku? Cokolwiek?

— Przepraszam, naprawdę przepraszam.

Popatrzył w zadumie na jej bladą, piękną twarz i pomyślał, ile musiała przejść, zanim tu dotarła. Rozgarnął leżące na poduszce czarne pasma włosów.

— Nie ma się czym przejmować. Słyszałem, że amnezja pojawia się u ludzi, którzy doznali jakiegoś urazu głowy w wypadku, ale jest to stan przejściowy.

— Naprawdę?

Panika ustąpiła teraz miejsca bezgranicznej wierze i zaufaniu do Brady'ego. Zaniepokojony pomyślał, że patrzy na niego jak na supermana. Nie mógł wytrzymać tego spojrzenia, odwrócił się więc i zaczął przestawiać naczynia na tacy.

— Tak, naprawdę. Do jutra na pewno wszystko sobie przypomnisz.

— To dobrze.

Długa cisza, jaka zaległa, zaniepokoiła go. Spojrzał na kobietę. — O co chodzi?



— To ta straszna próżnia w głowie. To... to jest okropne.

Westchnął, poczuł się rozdarty. Przez jedną krótką chwilę zapragnął naprawdę być tak wspaniałym, jak sobie to wyobrażała. Jednakże myśl ta była tak absurdalnie sprzeczna z jego charakterem, że moment ten szybko minął.

— Rozumiem twój niepokój, ale postaraj się spojrzeć na to z innej strony. Jest mnóstwo ludzi, którzy wszystko by oddali, aby móc zapomnieć o przeszłości.

— Należysz do tych ludzi?

Uśmiechnął się na myśl o tym. Przeszłość była dla niego lekcją, która zmieniła jego życie na lepsze i na pewno nie chciałby o tym zapomnieć.

— Nie.

Natychmiast pożałowała tego, co powiedziała.

— To było głupie pytanie, prawda? Jesteś człowiekiem, który ze wszystkim daje sobie radę.

— Zawsze tak szybko wyrabiasz sobie zdanie o ludziach? — Ta kobieta uświadomiła mu, że istnieją sprawy, z którymi nie umie sobie poradzić. Nie potrafi na przykład pomóc jej. Nie było to przyjemne uczucie.

— Tak. Nie. Nie wiem.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Bogata odpowiedź. Jestem pod wrażeniem. — Poprawił jej na głowie worek z lodem. — Łagodzi ból?

— Chyba tak. Nie wiem. Boli mnie.

— Wiem, że boli — mruknął. — Zamknij oczy. — Oczy, które nie dałyby spokoju żadnemu mężczyźnie. — Spróbuj zasnąć.

— Dobrze. Będziesz tutaj, prawda?

— Będę niedaleko. — Nie wyobrażał sobie, że wyśpi się tej nocy. — Jeśli będziesz czegoś potrzebować, po prostu zawołaj.

Już prawie zamknęła ocienione długimi rzęsami oczy, kiedy znowu szybko je otworzyła.

— Jak mam się do ciebie zwracać? Popatrzył na nią bezmyślnie.

— Zwracać się do mnie?

— Jak się nazywasz?

— Ach, Brady, Brady McCulloch.

Wargi jej wygięły się w nieświadomie prowokującym uśmiechu. Powoli zamknęła oczy.

— Brady — wyszeptwała.

Potarł zapałkę i podpalił drewno w kominku w sypialni. Poczekał, aż się dobrze rozpali, ustawił parawanik i upewniwszy się, że gość śpi, zszedł na dół.

Rodin spojrział żałośnie na swego pana, ale pozostał na podłodze przy łóżku.

Brady dorzucił drewna do kominka w saloniku, po czym zaczął przeglądać leżący na podłodze płaszcz przeciwdeszczowy swego gościa. W ubraniu, które zdjął, nie znalazł żadnego dowodu tożsamości. Przeszukanie płaszcza ujawniło tylko w prawej kieszeni kartę kredytową na benzynę. Wystawiona była na nazwisko Marissa Berryman. Prawdopodobnie zatrzymała się gdzieś po drodze, aby zatankować i nie schowała karty, lecz wsunęła do płaszcza.

Marissa. Odchylił do tyłu głowę i popatrzył na sosnowy sufit. Ujrzał w wyobraźni jej bladą twarz. Ujrzał ją bardzo wyraźnie. Zbyt wyraźnie.

W oddali dał się słyszeć łoskot grzmotu. „Co za piekielna noc” — pomyślał i skierował się do pokoju, w którym miał krótkofalówkę. Usadowił się przed aparaturą i wywołał szefa lokalnej policji.

— Tom, tu Brady McCulloch, cześć. Odbiór. Uregulował odpowiednio głośność i usłyszał pogodny głos Toma Harris’a:

— Jak się sprawy mają na szczycie góry? Odbiór.

— Mokro. Odbiór.

— Tak samo tu, na dole. A prognozy zapowiadają jeszcze więcej wody. Zdaje się, że będzie trzeba odłożyć naszego jutrzejszego pokera. Fatalnie. Miałem już wspaniałe plany co do twoich pieniędzy. Odbiór.

Brady zaśmiał się krótko.

— Marz sobie dalej, to nieszkodliwe. Odbiór.

— Też tak myślę. Czy mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze, poza tym, że będziesz mógł parę dni nacieszyć się swoimi pieniżkami? Odbiór.

— Właściwie, tak. Burza przysłała mi niespodziewanego gościa. To kobieta. Prawdopodobnie miała jakiś wypadek, jest ranna w głowę. Na dodatek nie pamięta, kim jest ani co się wydarzyło. Odbiór.

Tom zagwizdał cicho.

— Cholera. Przy tej pogodzie nie możemy przewieźć jej do szpitala samolotem. Połączę cię z lekarzem dyżurnym, to wszystko, co mogę w tej chwili zrobić. Odbiór.

— Na to właśnie liczyłem. Znam podstawy udzielania pierwszej pomocy, ale myślę, że lepiej będzie, jak porozmawiam z lekarzem. — Przerwał i zastanowił się, dlaczego waha się, czy podać Tomowi jej nazwisko. —

Znalazłem kartę kredytową na benzynę w kieszeni jej płaszcza. Jest na nazwisko Marissa Berryman. Czy możesz to sprawdzić? Odbiór.

— Mogę spróbować. Firmy kredytowe nie są zobowiązane do współpracy z nami. Czasami pomagają, a czasami wymagają nakazu sądowego. Zależy od firmy. Jeśli zażądają nakazu, będziemy w kłopotcie. Wiesz, że sędzia Reiser wyjechał z żoną na wakacje. No, ale może nam się uda. Tylko pamiętaj, że nawet jeśli zdecydują się nam pomóc, uzyskamy najwyżej adres, na który wystawiane są rachunki. Odbiór.

— Rozumiem. Odbiór.

— W porządku. Podaj dane. Odbiór.

Brady przeliterował jej nazwisko, nazwę firmy i numer karty kredytowej.

— Jak myślisz, kiedy będziesz coś miał? Odbiór.

— Jest piątek wieczór, myślę, że nie wcześniej niż w poniedziałek. Musimy przeczekać weekend.

Spała już od ponad godziny, kiedy burza wybuchła ze zdwojoną siłą. Poprzez łoskot grzmotów dotarł do niego jej krzyk. Poczul jakby uklucie nożem. Popędził na górę. Rodin stał, patrząc z niepokojem na leżącą na łóżku kobietę.

Miała zacisnięte oczy, a po policzkach spod gęstych rzęs spływały łzy. Usiadł obok i złapał ją za ramiona.

— Co się stało, Marisso? Załkała.

— Marisso, otwórz oczy i spójrz na mnie. Musisz mi powiedzieć, czy bardziej cię boli. Marisso!

Kiedy otworzyła oczy, dostrzegł w nich zamęt i rozpacz. Spojrzała na niego.

— Brady, dzięki Bogu.

Spróbowała usiąść, ale zanim zdążył jej pomóc, złapała się za głowę i jęknęła z bólu.

— Nie rób tego.

Wziął ją brutalnie w ramiona, chociaż zdawał sobie sprawę, jak ostrożnie powinien się z nią obchodzić. Poczul jednak, że musi ją do siebie przytulić, jakby jego ciało mogło przekazać jej swoją siłę. Szaleństwo. Nigdy wcześniej nikogo nie pocieszał i nie miał pojęcia, skąd to się u niego wzięło.

Drżąc z ulgi, tuliła się do niego. Jego dotyk sprawiał ulgę w bólu, ramiona dawały pociechę i ciepło. A siła Brady'ego rozpraszała lęki. Westchnęła. Łagodnie gładził ją po plecach.

— Dlaczego zrobiłaś tak gwałtowny ruch? Czego chciałaś?

— Tego.

— Tego?

- Chciałam, żebyś mnie przytulił — powiedziała miękko.
- Następnym razem po prostu powiedz, dobrze? Nie szarp się tak. — Przejechał ręką po jej włosach. — Bardzo bob?
- Bardzo.
- Był zły na siebie, że tak mało może zrobić, żeby jej pomóc.
- Mam tu gdzieś Tylenol. Jest słaby, niestety nie mam nic silniejszego, ale lekarz powiedział, że dobre i to.
- Lekarz?
- Tak. Rozmawiałem z lekarzem dyżurnym w szpitalu. — Chciał ją położyć. — Wracam zaraz z tabletkami.
- Nie! — Przyłgnęła do niego kurczowo.
- Uspokój się. Pójdę tylko na chwilkę. — Pomyślał, że tak łatwo było ją tulić. Spojrzał na czubek jej głowy. — Co się stało? Dlaczego krzyczałaś?
- Miałam koszmarny sen. Byłam na dworze. Znowu sama. W pułapce...
- Cicho... już dobrze. Burza już ci nic nie robi. Sam zbudowałem tę chatę i mogę cię zapewnić, że wytrzyma znacznie więcej niż to, czym teraz raczy nas Matka Natura
- Wiedziałam, że przy tobie będę bezpieczna — wyszeptwała.
- Kiedy mówiła, czuł, jak jej usta poruszają się na jego piersi. Była jak przestraszone, zranione dziecko i potrzebowała ukojenia. Problem w tym, że ona czuła jak kobieta i zdawał sobie sprawę, że on z łatwością może zareagować jak mężczyzna. Podniósł jej brodę, tak aby widzieć twarz Marissy. Zaraz tego pożałował. Twarz ta, nawet posiniaczona i podrapana, jeśli tylko na to pozwolił, mogła go zafascynować.
- Mam dobre wiadomości.
- Jakie? — zapytała miękko.
- Wiem, jak się nazywasz. Marissa Berryman. Wydawało mu się, że na moment wstrzymała oddech.
- Skąd wiesz?
- Znalazłem kartę kredytową na benzynę w kieszeni twojego płaszcza.
- I myślisz, że to moja?
- To chyba logiczne. Do kogo jeszcze mogłaby należeć? — przerwał.
- Czy to nazwisko wydaje ci się znajome?
- Duże, kryształowe łzy popłynęły jej z oczu.
- Nie. Zupełnie nie. Dlaczego nie mogę...
- Nie denerwuj się. Powiedziałem ci, że sobie przypominisz, i tak będzie. — Poglądził ją czule po policzku, a potem przytulił jej twarz do

piersi. Po chwili poczuł, że się odpręży. Jednak kiedy milczała już przez dłuższą chwilę, zaniepokoił się.

— Marissa?

Słuchała brzmienia tego imienia, które podobno było jej imieniem. Podobało jej się. Próbowwała wyobrazić sobie, jaka musi być osoba o takim imieniu. Szybko jednak myślenie zmęczyło ją i wyrzuciła z umysłu wszystko poza świadomością szczęśliwego poczucia bezpieczeństwa, jakie dawały jego ramiona.

— Marissa? Westchnęła ciężko.

— Czy mógłbyś... czy mógłbyś zostać ze mną przez resztę nocy?

— Oczywiście. Usiądę sobie z Rodinem przy kominku, dopóki nie zaśniesz. — Powoli położył ją na poduszkę, ale mocno trzymała go za koszulę na piersi.

— Nie, musisz zostać ze mną tutaj, w łóżku i przytulić mnie. Proszę cię.

— Marisso, ja...

— Proszę. Nie sprawię ci kłopotu. Obiecuję.

— Nie wiesz, że... — Wzrastająca rozpacz, jaką zobaczył w oczach Marissy, złagodziła jego obiekcje. „Przestraszone, zranione dziecko” — przypomniał sobie. — Dobrze, już dobrze. — Łagodnie uwolnił się z jej uchwytu. — Chyba nie będzie w tym nic złego. W ten sposób nie będę musiał czuwać, żeby cię słyszeć i może oboje trochę odpoczniemy.

Patrzyła na niego pełna zaufania, blada, posiniaczona i bardzo piękna. Omalże nie zmienił zdania co do spędzenia z nią nocy w jednym łóżku. Ale potem pomyślał o tym, ile energii daje Marissie w zwalczaniu bólu.

— Zaraz wracam.

— Nie, zaczekaj — jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. — Dokąd idziesz?

— Tylko tu obok — głową wskazał łazienkę. — Przyniosę Tylenol. Zajmie mi to dosłownie minutę.

Zaklął, widząc przepętlone strachem oczy. Za chwilę był już z powrotem. Podał jej tabletki i dorzucił do ognia. Potem położył się obok Marissy i przytulił ją do siebie.

Następnego ranka lało jak z cebra, ale wiatr już przycichł, minęły też błyskawice i grzmoty. Siedząc na kanapie w salonie, Marissa spoglądała spod długich rzęs na Brady'ego.

— Powiedz, jeśli będzie ci zimno — powiedział z roztargnieniem, robiąc coś przy kominku.

— Dobrze — odparła.

Jakże chciała, żeby na nią spojrział. Ale chociaż sprawiał wrażenie tak bardzo odległego, nie martwiła się tym. Pamiętała, jak w nocy tulił jej obolałą głowę do swej piersi. Za każdym razem, kiedy zwracał się do niej, odpowiadała i wydawało jej się, że to go uspokaja.

Inną rzeczą, jaką zapamiętała z zeszłej nocy, było zdumiewające wręcz zaufanie, jakie wywołała w niej twarz Brady'ego i zimne, szare oczy. Teraz zdała sobie sprawę, że nie zwróciła wtedy uwagi na nic innego w jego wyglądzie. Nie miała, na przykład, pojęcia, w co był ubrany. Dzisiaj na szerokich ramionach miał granatowy sweter, zrobiony na drutach. Sprane dżinsy opinały pośladki oraz umięśnione uda i łydki. Kiedy tak na niego patrzyła, poczuła dziwne drżenie w okolicy żołądka. Doszła do wniosku, że wczoraj musiała być po prostu oślepiąca pulsującym bólem i strachem, skoro nie zauważyła, jak bardzo atrakcyjnym mężczyzną jest Brady. Kierując się impulsem, powiedziała:

— Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Odwrócił się gwałtownie.

— Co?

— Powiedziałam... Machnął ręką.

— Nieważne. Powiedz mi tylko, dlaczego to powiedziałaś. Do kogo mnie porównujesz?

Reakcja Brady'ego zmieszała ją.

— Porównuję?

— Jakiego punktu odniesienia użyłaś, aby dojść do takiego wniosku? — wyjaśnił cierpliwie.

Wzruszyła niepewnie ramionami.

— Nie wiem. Myślałam po prostu o tobie i... Dziwnie napięty, zrobił kilka kroków w jej kierunku.

— Marisso, pomyśl. Jakich jeszcze innych mężczyzn uważasz za pociągających?

Patrzyła na niego z coraz większym niepokojem.

— Żadnych.

— Skąd możesz być taka pewna? Czy przypomniałaś sobie coś?

Od razu poczuła się lepiej, dotarło do niej, czego dotyczyły jego pytania. Chodziło mu o jej pamięć.

— Kiedy, jeśli w ogóle, sobie coś przypomnę, powiem ci, Brady. Nie mam przed tobą sekretów.

— Wiem — usiadł ciężko w fotelu przy kominku. Nie rozumiał, co się z nim działo. Reakcja na jej komentarz przyszła nie wiadomo skąd, zapomniał na chwilę o amnezji, która uczyniła ją tak szczerą i naiwną jak dziecko. —

Przepraszam, Marisso. Nie powinienem był tak na ciebie naskoczyć.

- Nie musisz przepraszać. Wiem, że to z troski o mnie.
- Tak. Ważne, że dzisiaj czujesz się lepiej — stwierdził zdecydowanie.
- Nie jesteś już tak strasznie blada i, jak mówisz, mniej cię boli.
- Tak, nie boli mnie już tak bardzo, ale...
- To dobrze, to dobrze. A jeśli chodzi o tę amnezję, to naturalne. Oprócz mechanicznego urazu głowy, przyczyniło się do niej na pewno to, co przeżyłaś w czasie burzy.

Zagłębiła się w myślach, a Brady wykorzystał ten moment, aby jej się dobrze przyjrzeć. Dosłownie tonęła w jego koszuli, rękawy miała podwinęte do łokci, a kołnierzyk odstawał od szczupłej, białej szyi. Gołe nogi przykryła kocem. Długie włosy opadały ciemnymi pasmami na ramiona.

— To dziwne, że nie poznaję własnego imienia — powiedziała po chwili. — To znaczy, to jest bardzo ładne imię, ale jest mi zupełnie obojętne, nie wywołuje żadnych uczuć.

— Mogę cię zapewnić, że to się zmieni. Popatrzyła na niego poważnie.

— Nic nie jest znajome, Brady. To tak, jakbym nigdy nie istniała. Istniejesz dla mnie tylko ty i burza.

Podniósł się i podszedł do okna. Oparł się ramieniem o ścianę i niewidzącym wzrokiem patrzył w deszcz.

Pomyślał, że dla jej własnego dobra nie powinna być tak otwarta i ufna. Jeśli zaś chodzi o niego, to nie powinna być zbyt bezpośrednia. Ani tak piękna. Nie mógł się już doczekać, aż odzyska pamięć.

„Ulewa utrzyma się przez kilka dni. Nie będzie więc można naprawić mostu i Marissa będzie musiała tu zostać. Cholera, żeby już odjechała”.

Nienawidził tej przerwy w pracy. Nienawidził tego wtargnięcia w jego odosobnienie. Nienawidził bólu, jaki ją gnębił.

Marissa obserwowała Brady'ego. Był światem, wszystkim, co знаła. Dopóki był przy niej, mogła walczyć z bólem i utratą pamięci. Dziwne, ale od momentu, kiedy otworzyła oczy i spojrzała na niego, wiedziała, że może mu ufać i polegać na nim. Ale wiedziała też, że i on ma kłopoty.

— O co chodzi, Brady? Co cię trapi?

— Myślałem właśnie o tym cholernym moście, żeby nie był zerwany.

— Jaki byłby z tego pożytek? Przecież i tak nie pamiętam, gdzie jest mój dom.

— Albo, kto na ciebie czeka? Czy nie obchodzi cię, że ktoś może się o ciebie martwić?

Kiedy zastanowiła się nad tym, ogarnął ją niepokój.

— Nie, chociaż zdaję sobie sprawę, że powinno mnie to obchodzić.

— Sądziysz, że jest ktoś taki?

— Powtarzam ci ciągle, że nie wiem — potarła czoło w miejscu, które nie było spuchnięte.

„Odpowiedź, nawet gdyby ją знаła, i tak nie zmieniłaby niczego” — pomyślał ponuro. Za kilka dni ona wyjedzie. A za jeszcze kilka następnych dni zupełnie pozbędzie się jej z pamięci. Powinien pozostawić sprawy ich własnemu biegowi.

— Nie masz obrączki ślubnej.

— Nie? — Uniosła rękę, aby to sprawdzić. Na wąskich, kształtnych palcach nie było żadnych pierścionków. Nie wiedząc dlaczego, poczuła narastającą panikę. — Nie, nie mam.

— Nie ma też żadnego śladu w miejscu, gdzie mogła być obrączka.

— Masz rację — stwierdziła, spoglądając szybko na niego, a potem z powrotem na lewą rękę. — To znaczy, że nie jestem mężatką, prawda?

— Być może.

— To na pewno oznacza właśnie to — powiedziała szybko. — Nie jestem mężatką i w ogóle przestałmy rozmawiać na ten temat. Takie snucie domysłów nie ma sensu. Nie jestem mężatką, wiem o tym.

Zmrużył oczy. Marissa oddychała szybciej, a głos miała niepewny. Myśl, że może być mężatką, najwyraźniej zaniepokoiła ją.

— Dlaczego uważasz, że nie jesteś mężatką?

— Bo... — Zaciśnęła pięści i wpatrzyła się z zafascynowaniem, graniczącym z przerażeniem, w serdeczny palec lewej ręki. — Po prostu dlatego. W każdym razie, to nieważne. Jest mi dobrze tak, jak teraz i tutaj. Pamięć nie jest mi potrzebna.

— Co masz na myśli? Co to znaczy, dobrze tak, jak teraz i tutaj? Nie chcesz sobie przypomnieć?

— Oczywiście... oczywiście, że chcę.

— Powiedziałaś, że nie chcesz.

— Po prostu tak się o mnie troszczysz, jestem tu bezpieczna, jest mi ciepło. Nie widzę już podwójnie. Boli innie ciągle głowa, ale...

— Nie ma żadnego „ale”. Masz nudności, klasyczny symptom wstrząsu.

— Ale przynajmniej nie wymiotuję. A ten rosół, który zrobiłeś, był po prostu wspaniały. — Opuściła rękę i pogłaskała po łbie Rodina.

„Nie chce sobie przypomnieć”. Brady uświadomił to sobie z całą pewnością. Dlatego jego ciągle wypytywanie denerwowało ją, a przecież przede wszystkim potrzebowała spokoju.

Ale dlaczego nie chce sobie przypomnieć? Ucieka od kogoś lub czegoś? Jeśli tak, to dlaczego?



Nic przed nim nie ukrywała. Wątpił, czy w ogóle byłaby zdolna do kłamstwa. Wraz z utratą pamięci, straciła wszystkie normalne mechanizmy obronne, jakie ludzie zdobywają, rosnąc i ucząc się funkcjonować w świecie, który nie zawsze jest przyjemny.

Interesowała go podświadomość Marissy. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że przyczyna jej amnezji może być nie tylko fizyczna, ale i emocjonalna. Musi uważać, stłumić ciekawość i czekać. Musi pozwolić jej przypomnieć sobie o wszystkim we właściwym czasie. I musi chronić ją przed jej własnymi obawami i przed sobą, ponieważ dopóki nic nie pamięta, jest bezbronna jak dziecko.

Nerwowo poprawiła worek z lodem na głowie. Nie była pewna, czy rzeczywiście przynosi ulgę w bólu, czy tylko wprawia jej czaszkę w odrętwienie. Nie widziała własnej twarzy wczoraj w nocy, ale Brady powiedział, że teraz wygląda już trochę lepiej. Znowu sięgnęła po lusterko, o które go wcześniej poprosiła, i przyjrzała się swojej twarzy. Z wyęzieniem szukała jakichś znajomych rysów. I nie znalazła ich.

— Już po raz trzeci przeglądasz się w lustrze. Nie jesteś zadowolona z tego, co widzisz?

Słyszac zaprawiony odrobiną drwiny głos Brady'ego, odprężyla się.

— To bardzo ładna twarz. A na pewno taka będzie, kiedy zniknie guz i te zadrapania. — Delikatnie dotknęła policzka, ale czuła tylko obojętność w stosunku do kobiety w lustrze. — To tak, jakbym patrzyła na fotografie obcej osoby.

— Możesz mi wierzyć, to nie fotografia. To ty. Wiele kobiet zapłaciłoby miliony, żeby tylko wyglądać, tak jak ty. Nawet z tym guzem na czole.

— Wierzę ci, wiesz o tym. Wyprostował się i odsunął od ściany.

— To była metafora. Przynieść ci coś? Jeszcze filiżankę rosółu?

Nie chciała, żeby ją opuścił, chociaż wiedziała, że będzie blisko, w kuchni. Zapytała więc szybko o to, co pierwsze przyszło jej do głowy.

— Co tu robisz? To znaczy, czy pracujesz tu? — Tak, w pewnym sensie pracuję tu.

— Gdzie? Masz jakieś biuro w Samsonville? Zdawał sobie sprawę, że nieświadomość Marissy co do jego pracy była tak prawdziwa, jak jego niechęć opowiedzenia jej o tym.

— Mam tam z tyłu warsztat.

— Warsztat? — zmarszczyła brwi.

— Pracownię. Studio... Pracuje z drewnem. W każdym razie, teraz tak. Twarz Marissy rozpoznała się.

— Aha, to znaczy, że robisz meble, czy coś w tym stylu, tak?

Uśmiechnął się.

— Tak, coś w tym stylu.

— Masz miły uśmiech. Powinieneś częściej się uśmiechać.

Wcisnął ręce głęboko w kieszenie dżinsów.

— Marisso, chcesz jeszcze rosołu?

Przyjęła jego niecierpliwość tak samo beztrosko, jak poprzednio uśmiech.

— Tak, poproszę.

RS

### ROZDZIAŁ 3

Dzień ciągnął się Brady'emu okropnie. Zdawało mu się, że Marissa jest wszędzie. Łagodność jej głosu, słodycz uśmiechu, zachwyt oczu wypełniały każdy kąt, każdy zakamarek domu. Było to dziwne, szczególnie, że — jak sobie uświadomił — zaledwie parę razy podniosła się z tapczanu.

Marissa zdobywała go.

Sposób, w jaki na niego patrzyła, działał na umysł, tak jak jej wygląd działał na ciało. Dawała mu całą siebie. A to wymagało wszystkiego w zamian, nie chciał takiej odpowiedzialności.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak niespokojnie i nerwowo. Pod koniec dnia rozważał nawet możliwość pobiegania w nasyconym wilgocią lesie. Zamiast tego jednak zaproponował Marissie, aby wzięła prysznic.

Teraz, regulując temperaturę strumienia wody, wyzywał się od głupców. Odwrócił się i strzepnął wodę z ręki.

— Na pewno dasz sobie radę?

— Chyba tak — odpowiedziała, rozglądając się po łazience. Cedrowe listewki tworzyły geometryczne wzory. Prysznic wyłożony złoto-zielonymi kafelkami, był tak duży, że spokojnie mogły się tam wykapać dwie osoby. Pomyślała, że efekt jest uderzający i męski — tak jak Brady.

— To był wspaniały pomysł. Dzięki, że o tym pomyślałeś. Gorąca woda na pewno dobrze zrobi moim obolałym mięśniom.

— Niestety nie mam wanny. A boję się, że nie jesteś jeszcze dość silna, aby utrzymać się na nogach.

— Na pewno dam sobie radę.

— W takim razie, dobrze. Tu masz ręczniki. — Wskazał na stos grubych, zielonych ręczników. — Wszystko, czego możesz potrzebować, znajdziesz tutaj.

— Szampon też?

— Tak. Nic specjalnego, ale możesz nim umyć włosy. Skrzywiła się.

— Włosy mam naprawdę bardzo brudne.

— Wyglądają wspaniale — stwierdził i zaraz pożałował, że nie ugryzł się w język. — Drzwi zostawię uchylone, jeśli będziesz czegoś potrzebować, zawołaj. Będę w sąsiednim pokoju.

Obdarzyła go uroczym uśmiechem.

— Dziękuję.

Rozum nakazywał mu wyjść z łazienki, ciało ciążyło w jej kierunku. Na szczęście zamęt ten trwał tylko chwilę. Wyszedł, pozostawiając drzwi lekko uchylone.

Zdjęła koszule Brady'ego, figi i weszła pod bosko ciepłą wodę. Westchnęła z rozkoszy. „Brady”—pomyślała. Chyba irytowało go, kiedy mówiła mu miłe rzeczy. Ale to tylko jeszcze bardziej świadczyło o tym, jaki był rozważny. Był, według Marissy, nadzwyczajnym mężczyzną. On... Zawróciło jej się w głowie.

— Brady! — Ręką oparła się o ścianę. Drzwi łazienki otwały się natychmiast.

— Co się stało?

— Chyba Jednak nie jestem jeszcze tak silna, jak myślałam.

— Tego się właśnie obawiałem. — Nie zastanawiając się, otworzył drzwi od prysznica. Stał w drzwiach, niespokojny o nią i jednocześnie niezdecydowany, co ma robić.

— Skończyłaś już?

— Nawet jeszcze nie zaczęłam.

— W takim razie, lepiej zaczekam tutaj. Możesz się przewrócić. Wszystko może ci się przytrafić. — Wycofał się do łazienki. — Będę tutaj.

Uśmiechając się do siebie, sięgnęła po mydło. Chociaż tylko słyszała głos Brady'ego, jego bliskość dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Dzisiaj, kiedy ból trochę zelżał i wracała powoli do sił, zaczęła myśleć o swoim życiu przed wypadkiem. Nie chciała jednak o tym myśleć. Chciała tylko Brady'ego, jego dobroci, opiekuńczości, siły.

Nie pamiętała tego mostu, ale przecież musiała jakoś przedostać się przez rzekę i wspiąć na wzgórze, aby do niego dotrzeć. Jej poprzednie życie pozostało gdzieś po drugiej stronie mostu. Właściwie, jeśli o nią chodzi, to mogło tam pozostać. Ale Brady był chyba przekonany, że w końcu sobie przypomni, więc musi brać tę ewentualność pod uwagę. Dlatego myślała o tym. Ale skoro nie miała na palcu śladu po obrączce z tamtego życia, to właściwie nie było powodu, dla którego nie mogłaby pozostać z Bradym. Gdyby chciał, żeby została...

Brady przysiadł na umywalce i popatrzył chmurnie na drzwi od prysznica. Poprzez matowe szkło widział szczupłą sylwetkę Marissy.

Namydlała całe ciało, a on zgłodniałym wzrokiem obserwował każdy jej ruch. Kiedy stanęła bokiem do niego, a tyłem do prysznica, zobaczył ponętny zarys pięknie ukształtowanych piersi i sterczących sutków. Zupełnie nieświadoma tego, uwodziła go.

Brady cały płonął. Gorąca para z prysznica kłębiła się, otaczając go miękką, ciepłą mgiełką. Nie to jednak było przyczyną tego, że całe czoło miał pokryte potem.

— Woda wspaniale mi robi, masuje ramiona — zawołała. — Zupełnie nie wiem, dlaczego tak mnie bołą.

— Prawdopodobnie napięłaś je podczas wypadku.

— Chyba tak — powiedziała niewyraźnie. Nie chciało jej się myśleć ó wypadku.

Ramieniem wytarł pot z czoła.

— Kończ już. Zbyt długo stoisz, jak na pierwszy raz. Odłożyła mydło.

— Jeszcze tylko włosy. Podniosła ręce do głowy i krzyknęła.

Brady odskoczył od umywalki i naprężył mięśnie, gotowy do działania.

— Co się stało?

— Nie mogę jeszcze tak wysoko podnieść rąk, za bardzo bołą mnie ramiona.

Był tak wytrącony z równowagi, że zanim pomyślał, wyrwało mu się:

— Ja umyję ci włosy.

— Umyjesz? Zamknął oczy. „Cholera”.

— Tak. Wyjdź już, wytrzymaj się, a ja przygotuję wszystko w kuchni. Najpierw trochę odpocznij i dopiero jak będziesz gotowa, zejdź na dół. — Usłyszał, że zakręca wodę. — Potrzebujesz czegoś?

— Możesz podać mi ręcznik?

Otworzyła drzwi i wyciągnęła do niego długą, szczupłą rękę. Niechcący ukazała przy tym kawałek jędrnej, białej piersi i sterczący różowy sutek. Wcisnęła jej ręcznik do ręki i klnąc do siebie, szybko wyszedł z łazienki.

W chwilę potem, na dole, ciągle jeszcze kłął: „Co za cholerna sytuacja!” W ciągu piętnastu lat były u niego różne kobiety. Czuł się przy nich dobrze. Przy Marissie czuł się jak drżący wulkan.

Nie starając się o to, wprawiała go w zakłopotanie. Skóra mu ścierpła na myśl, co by było, gdyby się o to starała.

„Nie wszystko naraz — przestrzegł sam siebie. — Pomóż jej, na ile jesteś w stanie, bądź cierpliwy, aż odzyska pamięć, a potem odeślij ją”.

Wziął ściereczkę do wycierania naczyń i cisnął ją w kąt, akurat w momencie, kiedy do kuchni weszła Marissa. Nawet nie próbował wyjaśnić jej swojego postępowania.

— Mam nadzieję, że dasz radę pochylić się nad zlewem.

Patrzyła na Brady'ego w zamyśleniu. Niewątpliwie coś wprawilo go w zły nastrój. Cofnęła się pamięcią godzinę wstecz — co to mogło być? Niezależnie jednak od przyczyny, ten nastrój uwydatnił jego seksowność. Wzmocnił męskość. Nogi dosłownie się pod nią ugięły. Wiedziała już jednak, że nie powinna mówić wszystkiego, co sobie pomyśli.

— Chcesz, żebym pochyliła się nad zlewem?

Szorstko przytaknął.

— To nie potrwa długo.

— Wszystko, co pan każe. — Idąc w jego kierunku, zaczęła rozpinąć guziki koszuli.

— Co robisz? — zapytał ostro. Zatrzymała się przestraszona.

— Przepraszam. Nie zapytałam cię najpierw, ale wybrałam sobie inną koszulę z twojej szafy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, są takie wygodne i w ogóle...

— Miałem na myśli — rzekł z przesadną wręcz cierpliwością — dlaczego rozpinasz bluzkę?

— Żeby się nie zamoczyła podczas mycia włosów — odparła rozsądnie.

Rozpiąwszy jedną trzecią guzików, zsunęła koszulę z ramion. Dolny brzeg uniósł się trochę i rozdzielił, ukazując figi.

Omalże nie złamał nadgarstka, odkręcając z impetem kurek.

— To nie potrwa długo — mruknął, zdając sobie sprawę, że się powtarza.

Pochyliła się nad zlewem. Włosy miała mokre, więc połał je szamponem i zaczął myć. Żeby zrobić to dokładnie, musiał stać tuż za nią. Czuł, jak jej wspaniale zaokrąglone pośladki opierają się kusząco o dolne partie jego ciała. Zdecydowanie nie sprzyjało to powrotowi do równowagi.

— Brady, to boli.

Ręce zamarły mu w bezruchu, kiedy uświadomił sobie, z jaką siłą szorował głowę Marissy.

— Cholera, Marisso, na drugi raz powiedz, że sprawiam ci ból.

— Właśnie to zrobiłam.

Nieoczekiwana wesołość w jej głosie nie polepszyła jego nastroju, ale zaczął łagodniej masować głowę Marissy. Piana spływała wzdłuż jej szyi, na ramiona. Podążając dłońmi za szamponem, okrężnymi ruchami ugniatał mięśnie. Jeśli od czasu do czasu niechący musnął długimi palcami piersi Marissy, tłumaczył sobie, że był to tylko zrozumiały w tych okolicznościach przypadek.

Marissę przebiegał przyjemny dreszcz, kiedy twarde ręce Brady'ego dotykały jej skóry. Czuła jego twarde ciało oparte o swoje pośladki i fala gorąca, która ją ogarnęła, nie miała nic wspólnego z uciskiem jego palców na mięśnie ramion. Krew huczała jej w uszach. Gdzieś w żołądku czuła falę podniecenia. Nie chciała jeszcze, aby ta przyjemność się skończyła, kiedy skierował na jej głowę strumień ciepłej wody i zaczął spłukiwać szampon.

Zawiązał jej ręcznik na głowie i pomógł się wyprostować.

— Jak się czujesz? Chcesz usiąść?

Kręciło jej się w głowie, ale nie była pewna co do przyczyny tego stanu.

— Chyba lepiej usiądę.

Zaprowadził ją do salonu i pomógł usiąść na dywanie przed kominkiem.

— Ponieważ nie możesz podnosić rąk, lepiej będzie, jak rozczeszę ci włosy.

— Sprawiam ci tyle kłopotu — powiedziała miękko, odprężając się w ciepłe kominka.

Usiadł za nią, objął nogami i przyciągnął do siebie tak, że znowu dotykał pośladków Marissy. I znowu tylko do siebie mógł mieć pretensje. To tak, jakby wiedział, że nie może posunąć się dalej, ale chciał zaznać przyjemności tego całkiem niewinnego kontaktu seksualnego, chociaż wzmagало to raczej jego pożądanie niż łagodziło.

Delikatnie czesał grzebieniem błyszczące, czarne i długie włosy, starając się nie szarpać ich i nie ciągnąć. Łagodność, z jaką to robił, kontrastowała z gburowatością głosu, kiedy powiedział:

— Nie przejmuj się tym.

— Wtargnęłam w twoje życie, noszę twoje ubrania...

— Mam trochę więcej, niż tylko tę parę koszul flanelowych, Marisso.

Dopiero co wzięła prysznic. Wiedział, że nie mogła użyć żadnych perfum, a jednak za każdym razem, kiedy pochylał się nad nią, czuł nęcący, kobiecy, oszalamiający zapach.

— Wiem, ja tylko... Moja wdzięczność wprawia cię w zakłopotanie, prawda?

— Nie musisz być wdzięczna.

Nieraz w podnieceniu wsuwał dłonie w kobiece włosy, ale nigdy jeszcze ich nie mył ani nawet nie czesał. Nie zdawał sobie sprawy, że istnieje taki rodzaj intymności i ta świadomość wstrząsnęła nim.

Włosy Marissy przypominały w dotyku i wyglądzie wilgotny jedwab. — Mimo wszystko, jak tylko poczuję się lepiej, będę się starała jak najwięcej pomóc ci w domu.

— Mam kogoś, kto przychodzi tu raz w tygodniu i sprząta dom. — Chciała odwrócić głowę, aby spojrzeć na

Brady'ego, ale zatrzymał ją rękami. — Nie ruszaj się, bo nigdy nie skończę.

Nie zastanawiała się nad szorstkością w jego głosie.

— W takim razie, na pewno mogłabym zrobić coś innego.

— Tak. Wyzdrowieć.

Przygryzła w zamyśleniu dolną wargę.

— Będziesz dzisiaj w nocy spał ze mną? — Poczuła, że jego ciało sztywnieje. — To znaczy, czy będziesz mnie obejmował tak, jak zeszłej nocy?

Ruch grzebienia ustał.

— Nie sędzę.

— Na pewno poczułabym się lepiej.

— Wczoraj w nocy musiałem cię budzić w regularnych odstępach czasu. Teraz to już zbędne. Nie będziesz potrzebowała mnie dziś w nocy.

.Jednak potrzebuję go — pomyślała. — I to w sposób, jakiego nie potrafię wytłumaczyć, ponieważ sama tego nie rozumiem".

— Gdzie będziesz?

— Tu na dole, na tapczanie. Nie martw się — powiedział wstając. — Będzie mi tu wygodnie i usłyszę, jeśli mnie zawołasz.

Marissa kołysała się lekko w wielkim sosnowym fotelu i uśmiechała się z rozmarzeniem. Ręką gładziła satynowe obicie fotela. Wczoraj odkryła, że Brady miał do zaoferowania znacznie więcej niż tylko poczucie bezpieczeństwa. Był mężczyzną bardzo atrakcyjnym seksualnie.

Dzisiaj odkryła dom tego mężczyzny i stwierdziła, że bardzo jej się tu podoba.

W jednopiętrowym domku, zbudowanym z drewna i kamienia, nie było nic ugrzeczniejszego albo jałowego. Pokoje emanowały ciepłem, kolorem i wygodą. Wygody tej nie tworzyły miękko wyłożone poduszkami krzesła i sofy: była to wygoda duszy. Tutaj można było znaleźć spokój, można tu było tworzyć. Na zewnątrz mogły szaleć burze, ale w środku było zawsze bezpiecznie i ciepło.

Zachwycało ją wszystko, co widziała. Na wyłożonej deskami podłodze leżał postrzępiony dywan w nieokreślonym kolorze, jakby brązu, owsianki i wielbłądziej wełny. Podobne dywaniki były na górze, przypomniała sobie jeden nawet w łazience. Dwie sofy i krzesło obite były niebieskim tweedem. Przy kominku w koszu pełnym sosnowych szyszek i suchych nasion, stały ręcznie robione narzędzia do kominka.

Wzrok Marissy spoczął na wyrzeźbionej kacze. Była brązowa, a głowa i skrzydła intensywnie niebieskie. Obok stała drewniana sowa. Ogarnęło ją uczucie spokoju, domowej atmosfery. Była oczarowana. Chciała pozostać tu na zawsze, z dala od bólu i samotności.

Bólu? Zmarszczyła na moment brwi. „Czy w tym zewnętrznym świecie istniał ból?” — zastanowiła się, a potem szybko odpędziła od siebie tę myśl i znowu ogarnęło ją uczucie pełnego zadowolenia.



Kiedy Brady wszedł przez frontowe drzwi, spojrzała na niego z radosnym uśmiechem.

— Przestało padać?

Zdjął drelichową kurtkę i powiesił na wieszaku przy drzwiach.

— Niezupełnie. Teraz opada mgła.

Spostrzegł, że miała na sobie jeszcze inną z jego koszul, purpurową. Wnioskując z tego, jak koszula układała się na jędrnych kształtach Marissy, stwierdził, że poza nią i majtkami nie ma na sobie nic więcej. No cóż, chciała, aby w czasie rekonwalescencji było jej wygodnie, i nie mógł jej za to winić.

To nie była wina Marissy, że nie mógł oderwać od niej oczu.

Wzrokiem błdził po jej kremowobiałej szyi, długich, szczupłych nogach i gołych stopach, tonących w miękkim dywanie.

— Burza na pewno jeszcze powróci. Możemy się tego spodziewać.

— Skąd jesteś taki pewny?

Przeciagnał ręką po wilgotnych włosach i podszedł do kominka.

— Lata życia na tej górze. Burze nie przechodzą tu szybko. Krążą dookoła, zbierając nowe siły, aby nagle wybuchnąć.

Zadrzała i otuliła się ramionami.

— Nie lubię burz.

Zmrużył oczy, przyglądając się Marissie z zainteresowaniem. Jej reakcja spowodowała, że zaczął się nagle zastanawiać, czy to właśnie tę burzę pamiętała, burzę, w której uległa wypadkowi. Czy może była jakaś inna burza?

— Nie ma się czym martwić. Nawet jeśli burza nadejdzie, tutaj jesteś bezpieczna—powiedział.

— Wiem. — Mocniej objęła się ramionami. — Naprawdę mam szczęście.

— Szczęście? — Uśmiechną! się niedowierzająco. — Przydarzył ci się wstrętny wypadek, zgubiłaś się i nic nie pamiętasz. Nie nazwałbym tego szczęściem.

— Znalazłam ciebie.

Ogarnęła go fala ciepła. Starając się otrząsnąć z tego uczucia, wziął pogrzbacz i przesunął drewno, które dopiero co włożył do kominka.

— Jak tam drzemka? Dawno wstałaś? Skrzywiła się.

— Masz na myśli moją czwartą drzemkę w ciągu dnia?

— Odpoczynek jest najlepszym lekarstwem, jakie mogę ci tu zaoferować. Długo nie śpisz?

— Nie, obudziłam się przed chwilą. Obejrzałam sobie twój dom i wiesz, do jakiego doszłam wniosku?

— Do jakiego?

— Że musisz być bardzo namacalny.

Spojrzał na nią przez ramię, potem wyprostował się i odwrócił do Marissy.

— Dlaczego tak uważasz? Błysnęła zębami w uśmiechu.

— Ponieważ otaczasz się przedmiotami wybitnie namacalnymi.

„Najchętniej otoczyłbym się tobą” — myśl ta przyszła mu do głowy wbrew woli.

— Lubię dotykać.

Odchrząknął i spróbował ocenić jej stan z medycznego punktu widzenia. Było to jednak niemożliwe. Bez wątplenia fizycznie nabierała sił i nie mógł już dłużej traktować jej jak chore, potrzebujące opieki dziecko. Uważał jednak, że stan jej zdrowia będzie najbezpieczniejszym tematem do rozmowy.

— Jak się czujesz?

— Głowa już prawie zupełnie mnie nie boli, ale umysł jest ciągle jak to powietrze na zewnątrz, pełen mgły.

Spuściła wzrok i popatrzyła w ogień. Dobry nastrój nagle ją opuścił. Brady usiadł na tapczanie i zmienił temat.

— Rodin chyba się do ciebie przywiązał. Uśmiechnęła się na wzmiankę o psie.

— Jest wspaniałym towarzyszem. Zazdroszczę ci go. Nigdy nie miałam psa.

Zesztywniał. Powiedziała to niedbale, najwyraźniej nieświadoma, że coś sobie przypomniała.

— Nie miałaś? Potrząsnęła głową.

— Nie.

— Miałem kilka psów, kiedy dorastałem, później już nie — powiedział spokojnie. — Dopiero kiedyś, kilka lat temu odwiedziłem przyjaciela. Kilka dni wcześniej jego suka oszczeniła się i szczenięta były w pudełku na werandzie. — Machnął ręką w kierunku Rodina, który z zamkniętymi oczami siedział przy Marissie. — Był najmniejszy i najsłabszy. Ledwo chodził, ale jak tylko mnie zobaczył, wygramolił się z pudła i łaził za mną po całym domu. Wiedziałem już, że nie wyjadę bez niego. Myślę, że nawet gdybym go ze sobą nie zabrał, to i tak przyłazłby tu za mną na górę. Przyjaciel powiedział mi później, że Rodin był wyraźnie obojętny, kiedy wcześniej przyjeżdżali jacyś kupcy, aby go obejrzyć. Śmieszne.

— Wcale nie. Czekał na ciebie.

Oddanie w jej głosie sprawiło, że poruszył się niespokojnie.

— Wspomniałeś o zwierzętach, kiedy dorastałeś — powiedziała z ciekawością. — Wychowałeś się w tej okolicy?

— Tak, niedaleko stąd.

— A twoja rodzina?

— Matka i ojciec żyją ciągle w domu rodzinnym po drugiej stronie miasta.

— Poznam ich?

Zdziwił się, bo przez krótką chwilę, ale jednak wziął taką możliwość pod uwagę. Potrząsnął głową.

— Nie sądzę.

Starła się ukryć ból, jaki sprawiły jej te słowa.

— Ciekawa jestem, czy moi rodzice żyją? Zaklął pod nosem widząc, jak bardzo jest napięta.

— Marisso, ja tylko miałem na myśli, że na pewno, jak tylko naprawią most, będziesz chciała wyjechać.

Długie rzęsy ocieniły oczy Marissy.

— Tak, oczywiście. Zapadło milczenie.

Brady obserwował Marissę, całkowicie przybity jej smutkiem. Gdyby tylko potrafił bardziej jej pomóc. Złapał się na tym, że podziwia piękny kształt jej twarzy, pełen wdzięku łuk szyi, wytworne linie ciała. „Boże — pomyślał — jakże chciałbym rzeźbić te linie, wyszukiwać i odkrywać tajemnice ukryte w tej wspaniałej powłoce”.

Co znalazłby? Jakie myśli? Jakie marzenia?

Kogo znalazłby? Jakich przyjaciół, rodzinę... jakich kochanków? Wiele dałby za to, żeby wiedzieć, ale wiedział przecież, że nie znajdzie odpowiedzi na te pytania, rzeźbiąc Marissę. Chociaż był dobry w tym, co robił, byłaby to najwyżej imitacja. Żaden żyjący artysta nie potrafiłby stworzyć czegoś tak pięknego jak ona. Więc czekał.

W końcu Rodin wyrwał ją z zadumy, kładąc głowę na poduszce i trącąc ją nosem w kolano. Domagał się pieśczęt. Marissa nie dała się prosić.

— Jesteś dobrym psem, prawda?

Rodin na potwierdzenie jej słów zamachał radośnie ogonem. Spojrzała na Brady'ego.

— Gdzie byłeś, kiedy spałam?

— Musiałem sprawdzić parę rzeczy w pracowni.

— Przeszkadzam ci w pracy.

Stwierdziła to z takim namaszczeniem, że musiał się roześmiać.

— Nie martw się tym. Gdybym chciał pracować, robiłbym to. Ale teraz uważam, że przede wszystkim muszę ciebie mieć na oku. To jest ważniejsze.

— Jesteś dla mnie taki wspaniałomyślny, a ja nawet nie wiem, czy będę w stanie ci się odwdziaczyć.

Wyprostował się.

— Nic mi nie jesteś winna, Marisso, ani teraz, ani w przyszłości. Kiedy w końcu przypomnisz sobie przeszłość, chcę, żebyś i o tym pamiętała.

Zadrżała pod jego intensywnym spojrzeniem. Nie bała się tego, jak na nią działał, nie onieśmiała jej też obcesowość Brady'ego. Akceptowała go tak, jak gdyby знаła go całe życie. A właściwie, dlaczego nie? Nieważne, co było przedtem. Jej życie zaczęło się w momencie, kiedy otworzył drzwi i zabrał ją z burzy do środka.

— Chciałabym zobaczyć twoją pracownię. Wzruszył ramionami.

— Może jak będziesz silniejsza.

— Dobrze. — Popatrzyła na niego przez chwilę. — O ile pamiętam, mówiłeś, że sam zbudowałeś ten dom.

Skinął głową.

— Tak mówiłem. Chciałem uspokoić cię w czasie burzy.

— Naprawdę go zbudowałeś?

— Tak. Piętnaście lat temu miałem domy w Los Angeles i Nowym Jorku. Ale... postanowiłem wrócić w rodzinne strony. Kupiłem tę ziemię i przystąpiłem do pracy. Obserwowałem, jak wydobywano te kamienie z kamieniołomu, sam rąbałem drzewo. Nauczyłem się nawet, jak się zakłada instalację elektryczną, gazową i wodno-kanalizacyjną. Krok za krokiem budowałem ten dom.

Uśmiechnęła się lekko, słysząc zadowolenie w głosie Brady'ego.

— To piękny dom — szepnęła.

— Nigdy w życiu nie pracowałem tak ciężko, ale podobało mi się to. Każda minuta sprawiała mi radość. No i potrzebowałem tego.

— Dlaczego? Zawahał się.

— Czasem można stracić z oczu to, co jest naprawdę ważne. Powrót na tę górę i budowa domu sprawiły, że powróciłem do rzeczywistości.

— Rzeczywistość—wypowiedziała to słowo, jakby je pierwszy raz słyszała. — Podoba mi się twoja rzeczywistość. Podoba mi się też sposób, w jaki ten dom jest udekorowany. Zaśmiał się.

— Nie jest udekorowany.

Zastanowił się szybko, dlaczego użyła tego właśnie słowa.

— To znaczy, miałam na myśli, czy sam wybierałeś meble i rzeczy?

— Tak, wybrałem to, co uważałem za wygodne. A ten fotel, w którym siedzisz, i parę innych rzeczy, zrobiłem. Niektóre przedmioty są wykonane przez miejscowych rzemieślników, na przykład dywany, rzeźbiona kaczka, narzędzia do kominka.

Gładziła ręką oparcie fotela.

— Zawsze lubiłam kołysać się przed kominkiem. A ty?

— Tak — powiedział, nagle czujny. Dwa razy w krótkim czasie jakby wracała do przeszłości.

Czekał, co będzie dalej.

— Kiedy byłam małą dziewczynką, miałam czerwony fotel na biegunach... — Urwała i podniosła dłoń do skroni. Spojrzała na niego przestraszona. — Co się stało, Brady? Coś tam było. To było tam. Teraz jest tylko pustka.

— Nie staraj się na siłę.

— Ale właśnie sobie przypominałam. Miałam w głowie obraz tego czerwonego fotela, ale już go tam nie ma. I nie wiem już, co chciałam o nim powiedzieć.

Wstał z tapczanu, ukląkł przed fotelem, na którym siedziała, i wziął jej dłonie w swoje.

— W porządku, Marisso. Nic się nie martw. To samo wróci, nie możesz tego przyspieszyć. Zapomnij o tym teraz. Myśl o czym innym. O Rodinie. O tym pokoju. O czymkolwiek.

Bliskość Brady'ego rozproszyła niepokój umysłu, poruszyła natomiast zmysły. Dotknęła jego twarzy.

— Ty wypełniasz teraz mój umysł. Omalże jęknął.

— Musisz przestać mówić takie rzeczy.

— Dlaczego?

— Bo nie jesteś sobą.

— A gdyby było ze mną w porządku i nadal mówiłabym to samo, co byś zrobił?

Zacisnął szczęki, a rękami gładził jej ramiona.

— Odpowiedź na to pytanie zależy od wielu niewiadomych.

Ametystowe oczy Marissy zaszyły mgłą. Spojrzała na Brady'ego.

— Jak myślisz, czy jechałam do ciebie, kiedy zdarzył się wypadek?

— Najpierw tak myślałem. Kiedy otworzyłaś oczy i zobaczyłaś mnie, powiedziałaś: „Dzięki Bogu, znalazłam cię”.

— Naprawdę?

— Powiedziałaś to dwa razy. Co mogłaś mieć na myśli?

— Nie wiem. Nie pamiętam nawet, że to mówiłam.

— Nieważne — powiedział, chociaż miał dziwne uczucie, że to jednak było ważne. Popatrzył na usta Marissy.

Oblizła dolną wargę, była teraz wilgotna i błyszcząca.

— Mieszkają tu w pobliżu jacyś ludzie? Ktoś, kogo mogłam jechać odwiedzić?

Puścił ją, ale nie odszedł.

— Nie. Za mostem jest już tylko moja posiadłość, a ja nie spodziewałem się gości tamtej nocy. Ale to jeszcze nic nie znaczy. Mogłaś się zgubić w czasie burzy, skręcić w złą drogę.

Czuła głęboką potrzebę wiary, że w jakiś sposób jednak była z nim związana.

— Ale może szukałam właśnie ciebie.

— A może nie. Marisso, pamiętasz kartę kredytową z twoim nazwiskiem?

Skinęła głową.

— Szef policji szuka po tym śladzie. Już jutro może będziemy wiedzieć, gdzie mieszkasz.

Wyglądała na zmartwioną.

W tym momencie Brady wiedział, co musi czuć, bo, ku swojemu zdziwieniu, sam nie chciał, aby Tom odkrył, kim była i skąd pochodziła. Chciał ją zatrzymać dla siebie.

Cóż za samolub z mego. A może po prostu normalny mężczyzna. Wiedział, że będzie musiał być bardzo silny.

— Co będzie, jeśli znajdzie mój adres? — zapytała.

— Tom skontaktuje się z posterunkiem policji najbliższym twego miejsca zamieszkania i dowie się, czy nie zgłoszono twojego zaginięcia.

— A jeśli zgłoszono? Odetchnął ciężko.

— Dostaną powiadomienie i prawdopodobnie przyjadą, żeby zabrać cię tak szybko, jak to będzie możliwe.

Jej niepokój objawił się zmarszczeniem brwi.

— Ale będą musieli czekać, aż naprawią most, prawda?

— Tak.

— W takim razie mam nadzieję, że to potrwa wieczność.

— To dlatego, że jeszcze nikogo nie pamiętasz. Znasz tylko mnie.

— Tylko ciebie chcę znać. — Nagle, nie myśląc już, wyznała: — Kocham cię, Brady.

Zbladł.

— Nie wiesz, co mówisz.

— Wiem—powiedziała spokojnie i zdecydowanie. — Aż do tej chwili nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale teraz już wiem. Kocham cię.

— Na Boga, pojawiłaś się na progu mojego domu zaledwie dwa dni temu. Za wcześniej, żebyś mogła żywić do mnie jakieś uczucia. Cholera, przecież nawet mnie nie znasz.

— Ależ, znam cię. Jesteś miły, łagodny i...

— Miły? — zapytał szorstko. — Wiele cech można mi przypisać, ale na pewno nie to, że jestem miły. Łagodny też nie. Nie pozwolę robić z siebie bohatera, którym nie jestem, żebyś mnie potem winiła, jeśli nie sprostam twoim wyobrażeniom o mnie.

— Nigdy mnie nie zawiedziesz.

Zduśił w sobie jęk. Który facet w pełni władz umysłowych odepchnąłby kobietę patrzącą na niego, jakby wierzyła, że może zmienić kierunek fal? Skąd miał czerpać siły?

— Posłuchaj, Marisso. Kaczątka przywiązuje się do pierwszej rzeczy, jaką zobaczy po wylęgnięciu ze skorupki. Tak właśnie zrobiłaś ty. Otworzyłaś oczy jakby w nowym świecie i zobaczyłaś mnie. Balaś się, więc przylgnęłaś do mnie, co w samej rzeczy zakrawa na ironię. Mogę ci podać nazwiska kobiet, które cię przekonają, że jestem raczej niebezpieczny. Ale to nie ma znaczenia. Amnezja nie będzie trwać wiecznie i dowiemy się, kim jesteś.

— Dlaczego?

To żalodne pytanie wywarło na nim takie wrażenie, jakiego nigdy się nie spodziewał.

— Bo prędzej czy później zdasz sobie sprawę, że nie jestem jedynym mężczyzną na świecie — powiedział. — Będzie lepiej dla mnie, jeśli nastąpi to jak najszybciej.

Włożył rękę za kołnierzyk koszuli i pogładził ją po szyi.

Dotyk ręki Brady'ego przyprowadził Marissę o falę gorąca, która zaparła jej dech w piersiach. Niczego innego nie chciała, jak tylko wierzyć, że on czuje to samo, co ona. — A jeśli istnieje jakiś mężczyzna w moim życiu, Brady?

— Wtedy, skarbie, będę się trzymał z daleka od ciebie. Przelknęła ślinę, oczy jej były teraz rozszerzone i patrzyły błagalnie.

— Mógłbyś?

— Zrobiłbym to albo umarłbym próbując.

— To znaczy, że ciężko byłoby ci zrezygnować ze mnie? Jęknął.

— Marisso, przestań.

— Pragnę cię, Brady. Zacisnął rękę na jej szyi.

— Nie wiedziałabyś nawet, kim jesteś, gdybym ci nie powiedział. Cholera, przecież ty na pewno nie wiesz, co to znaczy „pragnąć kogoś” — powiedział gwałtownie.

— To jest to, co czuję. Gorąco i ocieężałość. Łagodność i ogień.

— Przestań...

— To ty...

Z całym powstrzymywaniem do tej pory pożądaniem, jakie w nim tkwiło, przycisnął wargi do jej ust. Na jeden niezwykły moment pozwolił sobie na zapomnienie. Trzymał mocno głowę Marissy i wsunął język głęboko w jej usta. Jego ciałem wstrząsały dreszcze emocji. Przyłgnęła do niego. Była najbardziej pragnącą i oddaną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Oddawała mu się całkowicie. Pozwoliłaby mu zrobić wszystko. Gdyby zastanowił się nad tym dłużej, rozsądek opuściłby go zupełnie, zatraciłby rozeznanie między dobrem a złem. Doprowadziłoby go to do szaleństwa. Ona doprowadzała go do szaleństwa.

Teraz, kiedy dotknął ręką jej piersi, wydała z siebie jęk rozkoszy. Ale kto w poprzednim życiu całował ją, dotykał, kochał się z nią aż do utraty zmysłów, tak jak on teraz chciał to zrobić?

Może jeszcze ważniejsze było, kim okaże się Marissa, gdy odzyska pamięć?

Gało Brady'ego przeżywało katusze, kiedy oderwał się od niej nagle, teraz tym bardziej zapragnął, aby jak najszybciej sobie przypomniała.

Tak ważne było, aby oboje startowali z równego poziomu. Bo dopóki nie powróci jej pamięć i nie będzie w pełni świadoma tego, co robi, i dlaczego to robi, panowanie nad sobą będzie dla niego istnym piekłem.



## ROZDZIAŁ 4

— ...w końcu udało mi się przekonać tę firmę kredytową, żeby z nami współpracowała — powiedział Tom. — Podali mi adres pocztowy. Na szczęście to numer ulicy, a nie skrzynki pocztowej. Aha, to jest w Dallas. Skontaktowałem się z tamtejszą policją. Od razu wiedzieli, o kogo chodzi, podobno często piszą o niej w kronice towarzyskiej, ale nie zgłoszono jej zaginięcia. Poprosiłem ich, żeby wysłali pod ten adres samochód i zawiadomili kogoś, kto mógłby się niepokoić, że jest bezpieczna. Odbiór.

Nie zdając sobie sprawy z tego, jak mocno zaciska palce na krótkofalówce, Brady powiedział:

— Czy ktoś tam był? Odbiór.

— Jeszcze nie wiem. Dam ci znać, kiedy się czegoś dowiem. Jak ona się czuje? Odbiór.

— Lepiej. Jak tylko naprawią most, byłoby dobrze, żeby zbadał ją lekarz. Ale wydaje mi się, że wszystko w porządku. Tylko ta cholerna amnezja...— Zamyślił się na moment, szybko jednak zreflektował się. — Dzięki, Tom. Bądź ze mną w kontakcie. Koniec.

Odchylił się do tyłu na krześle i przetarł oczy. Na razie Marissę nic nie obchodziło, kogo lub co pozostawiła za sobą, prawdopodobnie dlatego, że się bała. To on chciał, żeby odzyskała pamięć.

Nie potrafił już myśleć o niczym innym. Bała się. Kiedy otworzyła oczy i zobaczyła go, powiedziała: „Dzięki Bogu, znalazłam cię”. Ponieważ umysł jej wypełniała

wtedy pustka, słowa te musiały pochodzić z podświadomości.

Zmarszczył brwi. Za daleko sięgał myślami. Tymczasem znaczenie słów Marissy było proste: była wdzięczna, że go znalazła, bo w przeciwnym razie mogłaby umrzeć na tej górze.

Ale skoro było to takie proste, dlaczego przyłgnęła do niego, jakby bała się utonąć? Zachowywała się, jakby wierzyła, że on właśnie był jedyną osobą na świecie, która mogła ją ocalić. Bez sensu. Przecież teraz była już bezpieczna.

A może jednak nie?

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Może była w jakimś niebezpieczeństwie? Zagrożenie przychodziło pod różnymi postaciami. Co mogło być tak strasznego, że zablokowała pamięć, aby od tego uciec? Policja w Dallas nie znalazła na jej temat niczego szczególnego, niezwykłego, w przeciwnym razie powiadomiliby Toma. A więc przed czym lub przed kim uciekała?

Zatrzymał się na środku pokoju i zmusił się do zaczerpnięcia trzech głębokich oddechów. Był najcierpliwszym człowiekiem pod słońcem, jeśli chodziło o pracę — proces cięcia, rzeźbienia i wygładzania drewna, aby przybrało postać, jaką sobie wyobraził — był niezwykle powolny. Jednakże czekanie, aż Marissa odzyska pamięć, okazało się przewyższać jego cierpliwość.

Chciał, żeby była zupełnie zdrowa, chciał mieć pewność, że nic jej nie zagraża, a potem chciał, żeby odeszła z jego życia. Tego właśnie chciał.

Odwrócił się na pięcie i poszedł jej poszukać.

Znalazł ją w kuchni. Z zafascynowaniem wpatrywała się w starą maszynkę do robienia gofrów, z której kipiało ciasto, pokrywając wszystko dookoła.

— Co robisz?

Odwróciła się do niego i oznajmiła z uśmiechem:

— Właśnie odkryłam coś na swój temat. Nie umiem gotować. A przynajmniej nie umiem robić gofrów.

Podszedł do stołu i wyłączył maszynkę.

— Co ty w ogóle robisz? Jeśli jesteś głodna, wystarczy, żebyś mi powiedziała.

— Nie chciałam sprawiać ci kłopotu. Poza tym jestem już silniejsza i powinnam próbować więcej chodzić. — Wzięła na palec trochę rozlanego ciasta i oblizała. — Weszłam tu i znalazłam pudełko z ciastem na gofry i maszynkę do ich robienia. Przeczytałam „sposób użycia” i wydawało mi się to łatwe. Ciasto jest smaczne. Nie wiem, gdzie popełniłam błąd. — Znowu zaczerpnęła trochę ciasta na palec i podsunęła mu do ust. — Spróbuj.

— Nie, dziękuję.

Palec Marissy w jego ustach, to zdecydowanie nie był najlepszy pomysł. Patrzył zahipnotyzowany, jak wrzuciła ramionami i ten sam palec włożyła do ust i zlizywała ciasto. Oderwał od niej wzrok i podniósł pokrywę maszynki.

— Wygląda na to, że wlałaś wszystko na raz. Powinno się wlewać za każdym razem tylko pół miarki, a już najwięcej miarkę.

— Aha. — Przygryzła w zamyśleniu dolną wargę i zapytała: — Jak myślisz, czy to możliwe, żeby nie wiedziała, jak się gotuje?

— Nie wiem. — Sięgnął za nią po szmatkę do naczyń i dotknął niechcący miękkiej flanelowej koszuli, którą miała na sobie. Poczekał, aż opadnie fala gorąca, jaka go ogarnęła. — Czy to ma jakieś znaczenie?

— Chyba jestem po prostu ciekawa.

Wytarł rozlane ciasto z brzegów maszynki i spojrział na nią.

— Wczoraj powiedziałaś, że nie chcesz sobie przypomnieć.

W oczach Marissy pojawił się wyraz niepewności.

— Nie chcę. Tylko, mój Boże, przecież powinnam umieć gotować. Każdy umie, prawda?

— Nie każdy. Poza tym, może potrafisz gotować, tylko na przykład wyszłaś z wprawy — odłożył szmatkę.

— Dlaczego miałabym wyjść z wprawy? Myślisz, że przez cały czas jadałam poza domem? — Nerwowo potarła czoło.

Oparł łokieć o stół i pochylił się tak, że ich twarze były teraz na tym samym poziomie.

— Marisso, przed chwilą rozmawiałem z Tomem. Napreżyła się.

— Z Tomem?

— Tak. Z Tomem Harrisem, lokalnym szefem policji, mówiłem ci o nim wcześniej. Dzięki numerowi twojej karty kredytowej dotarł do tego, gdzie mieszkasz. — Urwał, gdyż nagle zbladła. — Coś nie tak?

— Nie chcę tego słuchać.

— Zanim się bardziej zdenerwujesz, powiem ci tylko, że nie dowiedziałem się niczego konkretnego. Wszystko, co wiem, to twój adres w Dallas. Mają zamiar wysłać tam samochód.

— Powiedziałam ci, że nie chcę tego wiedzieć — głos jej się załamał, a oczy zwilgotniały od łez.

Przytulił ją do siebie.

— O Boże, Marisso, tak bardzo chciałbym, żebyś mogła mi powiedzieć, dlaczego nie chcesz przypomnieć sobie, kim jesteś.

— Po prostu nie odczuwam potrzeby, żeby wiedzieć, co jest po tamtej stronie mostu — wyszeptła. — Nie możesz pogodzić się z tym i przyjąć tego, co mogę ci powiedzieć? Kocham cię.

Przyłgnęła do Brady'ego. Poczul na ciele kobiece kształty i jego ciało zareagowało tak, że nie potrafił temu przeciwdziałać. Zdjął z siebie jej rękę i odsunął ją.

— To nie jest uczciwe w stosunku do nas obojga.

— Dlaczego? Dla mnie jest. Tego właśnie chcę.

— Zatraciłaś mechanizmy ochronne, jakimi życie cię do tej pory obdarzyło. Nie mogę tego wykorzystać. Spróbuj zrozumieć.

Marissa obserwowała stanowczą twarz Brady'ego. Wyraz jego zwykle zimnych oczu był teraz gwałtowny.

— Wiem, że jesteś honorowym człowiekiem.

— Jestem mężczyzną, Marisso. Przede wszystkim. I dlatego powinnaś uważać. Nie jestem żadnym bohaterem. Zrobiłem to, co każdy zrobiłby w

takich okolicznościach. Byłaś ranna i potrzebowałaś pomocy. Zrobiłem więc, co było w mojej mocy. To nic takiego.

— Nie, to nic takiego, jeśli o to chodzi, Brady, ale ja się w tobie zakochałam. Nie planowałam tego. To stało się szybko, ale nie od razu. Otworzyłam oczy i zobaczyłam kogoś, komu mogłam z zaufaniem powierzyć swoje życie. Godziny mijały, ty opiekowałeś się mną. Tuliliś mnie w nocy, dawałeś jeść, umyłeś włosy, pocałowałeś. I nagle zrozumiałam, że zakochałam się w tobie.

Deszcz zaczął delikatnie uderzać w szyby kuchenne. Przejechał dłońmi przez włosy, starając się nie zauważać łez zbierających się w oczach Marissy.

— To za mało, żeby budować na tym miłość.

— Może za mało, ale są ludzie, którzy przez całe życie nie zaznali tyle czułości i miłości, ile ty ofiarowałaś mi w tak krótkim czasie.

— Czułość i miłość? Marisso, powiedziałem ci...

— Wiem. Nie jesteś miły ani łagodny. Ale dla mnie jesteś taki i tylko to się liczy. Przykro mi, że wprawiam cię w zakłopotanie. Przepraszam, że sprawiam ci tyle kłopotu. — Łzy spłynęły po jej policzkach. — I jeśli ma to cię uszczęśliwić, jak tylko naprawią most, zaraz wyjadę.

Nie był dość silny, aby oprzeć się błyszczącym od łez, ametystowym oczom. Z powrotem wziął ją w ramiona.

— Nie wiesz, czym jesteś dla mnie? — wyszeptał. — Nie widzisz, że nie mogę zbliżyć się do ciebie, żeby cię nie zapragnąć?

Stała na palcach i przycisnęła usta do jego warg. Kiedy język Brady'ego wśliznął się namiętnie w jej usta, przeszył ją dreszcz spełnienia. Nie wiedziała dlaczego, ale była przeświadczona, że w odległym czasie i miejscu została stworzona dla tego właśnie mężczyzny. Kiedy trzymał ją w ramionach, nie musiała dopasowywać do niego swego ciała. Gdy tylko poczuła żar Brady'ego, jej kształty dostosowały się do niego. Podczas pocałunku jej krew zamieniała się w ogień.

Zdawała sobie sprawę, że Brady jej nie kocha. Teraz. Ale przecież, skoro ona została stworzona dla niego, on musiał być stworzony dla niej. Jej miłość nie może go nie wzruszyć. Kiedyś, wkrótce, niezależnie od tego, czy naprawią most, czy nie, Brady pokocha ją.

Jego ręka osunęła się w dół, pod flanelową koszulę. Objął jej pełną pierś. W odpowiedzi na ten dotyk poczuł niekontrolowany dreszcz Marissy. Wiedział, że powinien przestać. Zamiast tego, mocniej przycisnął ją do siebie. W samym środku dłoni czuł stwardniały sutek.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa — szepnął, całując ją gorączkowo po twarzy i szyi. — Nie możemy tego zrobić. Nie powinniśmy...

— Chcesz się ze mną kochać?

— O Boże, tak.

— Więc jak może być w tym coś złego?

— Marisso, nie. To jest...

Spróbował odepchnąć ją, ale nagle zabrakło mu sił. A może nie starał się naprawdę odsunąć jej od siebie. Nie był pewien.

Jego umysł był pokonany, myśli chaotyczne. Nad wzgórzem przetoczył się grzmot. Deszcz bębnił w szyby. Marisa jęknęła cichutko. Głośne bicie serca Brady'ego połączyło się z odgłosem nadchodzącej burzy, jego uszy wypełnił łomot i nagle nie był już pewien, czy krzyk Marissy był krzykiem namiętności, czy strachu. Myśl, że mógłby to być strach, zrodziła w nim zdecydowanie, którego sam się nie spodziewał. Powoli, drżąc, odsunął się od niej. Dochodząc do siebie, zakrył oczy ręką.

Marissa stała teraz sama, bez oparcia, owinęła się ciasno ramionami, jakby broniła się przed pełnym zdziwienia bólem i zmieszaniem, jakie zaczęły ją ogarniać.

Brady odsłonił oczy i spojrzął. Serce mu się ścisnęło. Dostrzegł w niej pierwsze oznaki nieufności, pierwsze od chwili obudzenia się do nowego, czystego świata. Nieufności, którą on w niej wywołał i czuł się za to odpowiedzialny. Wydawało mu się toomalże bliźną na czymś, co w przeciwnym razie byłoby nieskazitelne.

— Spróbuj zrozumieć, Marisso.

Niepewną ręką odgarnęła włosy z twarzy i uśmiechnęła się przelotnie.

— Często to powtarzasz i właściwie to nie chcę już tego słuchać.

Wyciągnął rękę, potem opuścił ją.

— Przepraszam. Naprawdę. To dla twojego własnego dobra.

W jej oczach pojawił się dziwny wyraz i zaraz zniknął.

— Wydaje mi się, że mama tak do mnie mówiła. Wtedy też mi się to nie podobało. Idę na górę.

Burza huczała nad wzgórzem przez cały wieczór, trochę łagodniejąc, to znowu przybierając na sile. Marissa siedziała w sypialni. Tylko Rodin dotrzymywał jej towarzystwa. Napięcie odpływało i przyplęwało wraz z grzmotami i deszczem. Kiedy centrum burzy znajdowało się tuż nad chatą, zaczęła chodzić po pokoju. Gdy uciszyło się, Marissa usiadła przed kominkiem i wpatrywała się w tańczące płomienie. Znajdowała w jasnym świetle różne kształty i formy, ale nie znalazła odpowiedzi.

Był to nowy niepokój, którego nie potrafiła wytłumaczyć. Ale nawet nie znalazłszy odpowiedzi na żadne z dręczących ją pytań, podjęła decyzję. Musi przestać narzucać się Brady'emu. Świadomość tego, że ją odtrącił, przygniatała ją, ale jej śmiałość unieszczęśliwiła także Brady'ego, wbijając między nich klin.

Około ósmej Brady przerwał jej samotność.

— Przyniosłem ci kolację.

Spojrzała na niego, zupełnie nie odczuwała potrzeby zjedzenia czegokolwiek.

— Nie trzeba się było trudzić. Nie jestem głodna. Przeszedł przez pokój i postawił tacę w nogach łóżka.

— Musisz jeść.

Włożył ręce do kieszeni dżinsów i niewidzącym wzrokiem omiółł sypialnię. Chciał jej coś powiedzieć, czuł, że musi, ale żadne słowa nie przychodziły mu do głowy. Przecież to, co chciał powiedzieć nie było neutralne i w jakiś sposób mogłoby jej zagrozić lub zdenerwować.

— Wszystko w porządku? To znaczy, czy masz wszystko, czego ci potrzeba?

— Tak.

Chłód Marissy dotknął go. Zacisnął ręce w kieszeniach.

— Jeśli będziesz mnie potrzebowała, będę w pracowni. Po prostu otwórz drzwi i powiedz Rodinowi, żeby mnie przyprowadził.

Począł chwilę, ale ponieważ nic nie powiedziała, wyszedł z pokoju.

Marissa ledwie tknęła jedzenie. Po godzinie zaniósła pełną tacę na dół i postawiła w kuchni na stole. Około 75 metrów dalej błyszcząły światła w oknach dużego budynku. Długo stała w ciemnej kuchni, patrząc w kierunku tego światła. Kiedy jednak Brady nie ukazywał się, wróciła na górę i położyła się do łóżka.

Burza szalała nad nią. Grzmoty ogłuszały, błyskawice oślepiały. Była zupełnie sama. Nie, był jeszcze ktoś... mężczyzna. Gdzie on był? Dlaczego jej nie pomógł?

Złapała się za brzuch. Ból, głęboko w środku, rozdierający ból. Prerażona zawołała pomocy. Ale nikt jej nie słyszał, nikogo nie obchodziła. Łzy zalewały jej twarz. Deszcz uderzał o metalowy dach. Błyskało się. Dlaczego zostawił ją samą? Była w pułapce.

W pułapce...

Jakieś ręce pociągnęły ją.

— Obudź się, Marisso. Obudź się. Śni ci się coś złego.

Głos Brady'ego dotarł do niej poprzez burzę. Otworzyła oczy i załkała z ulgą, kiedy zobaczyła nad sobą jego hardą twarz.

— Dzięki Bogu. — Usiadła i zarzuciła mu ramiona na szyję. Był do pasa rozebrany, ciepły i silny. Przyłgnęła do niego.

Pocałował ją w głowę.

— Już wszystko dobrze. Jesteś bezpieczna, to był tylko sen.

Przytuliła twarz do ciepłej szyi Brady'ego, z oddali słyszała odgłosy burzy.

— Była burza.

— Tak, przechodziła toż nad nami, ale teraz przesunęła się nad dolinę. Już chyba nie wróci.

Odsunęła się od niego, wilgotne od łez oczy przepelnione były lękiem.

— Nie, nie rozumiesz. Śniła mi się burza. Poglądził ją delikatnie palcami po twarzy, wycierając łzy.

— To zupełnie normalne. Burza zaskoczyła cię na tym wzgórzu i złapała w pułapkę, ale...

Chwyliła go za nadgarstek, powstrzymując palce gładzące jej twarz.

— Nie! Ta pułapka nie była na zewnątrz. Była w środku. Zaintrygowany, zmarszczył brwi.

— O czym ty mówisz?

— Ta burza we śnie, to była inna burza niż... Nie wiem. Byłam w środku czegoś.

Powoli opuścił rękę. Marissa ciągle jednak trzymała go za nadgarstek. Czując jego silny i spokojny puls, uspokajała się. Brady był mocny jak skała, tylko na nim mogła polegać na tym świecie.

— Przypomniałaś sobie coś?

Poruszona i zdenerwowana potrząsnęła głową.

— Nie, mówię ci po prostu, że to była inna burza. I nie wiem, co to znaczy!

— Dobrze, już dobrze — powiedział miękko, aby ją uspokoić. — Odpreż się. Nie ma się czym przejmować. W snach z reguły trudno znaleźć sens. Są jak źle dopasowane kawałki łamigłówek. Nie można ich zrozumieć. Nie myśl o tym, nie staraj się znaleźć znaczenia, bo go tam nie ma.

— Ale...

— Połóż się — ułożył ją delikatnie na poduszce. Marissę oblał zimny pot.

— Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie samej! Współczucie wypełniło serce Brady'ego. Pochylił się

nad Marissą, opierając dłonie na poduszce, po obu stronach jej głowy.



— Marisso, nie mogę tu z tobą zostać, ale będę na dole. Usłyszę, jak będziesz wołała.

— Nie zostanę tu bez ciebie. — Od powstrzymywanych łez zabolęła ją w gardle, ale w twarzy widać było zdecydowanie. — Jeśli pójdziesz na dół, zejdziesz za tobą. Brady, proszę cię. Nie chcę mieć znowu jakiegoś snu. Jak będziesz mnie tulił, to na pewno nic mi się nie przyśni.

Jęknął.

— Przytulanie cię nie ma nic wspólnego ze snami.

— Może. Ale może ma. Wydaje mi się, że jednak ma i nie chcę ryzykować. Czy proszę cię o aż tak wiele?

„Tak — pomyślał. — Prosisz o pocieszenie, podczas gdy ja pragnę się z tobą kochać”. Westchnął. Nie miał wyboru.

— Dobrze już.

Wstał, zgasił światło i wrócił do niej. Położył się na kołdrze i wziął ją w ramiona.

Marissa przytuliła się do niego mocno, głowę opierając na jego nagiej piersi. Na początku zupełnie nie potrafiła się odprężyć. Sen powracał, jakby zacięły się klatki jakiegoś filmu. Kręciła się nerwowo w ramionach Brady'ego. Nie mówiąc nic, zaczął gładzić palcami jej włosy. Po chwili zaczęła się uspokajać. Słuchała bicia jego serca i powoli napięcie mijało.

Ale niewyjaśniony niepokój ciągle jej nie opuszczał. Gdzieś w zakamarkach jej umysłu cienie zaczynały nabierać kształtów.

Tuż przed zaśnięciem wymruczała:

— Był jakiś mężczyzna w moim śnie, Brady... i to nie byłeś ty.

Palce Brady'ego zamarły na włosach Marissy.

Po niespokojnej nocy Marissa spała do późna. Kiedy obudziła się, Brady'ego już przy niej nie było. Przeciągnęła się i spojrzała w okno. Dzień był pochmurny, ale zniknęły już wszystkie oznaki deszczu.

Wstała i wzięła prysznic, potem, nie zdając sobie właściwie sprawy dlaczego, ubrała się w swoje własne rzeczy. Były ogniwem łączącym ją z przeszłością, której z powrotem nie chciała. Czuła jednak wewnętrzny przymus, aby założyć je tego ranka.

Nie знаła żadnych odpowiedzi, tylko pytania, ale jej umysł nie był już tak niezmacony, jak lustrzana tafla jeziora w bezwietrzny dzień. Drobne fale niepokoju wzburzyły powierzchnię sprawiając, że chciała odkryć, co było pod spodem.

Bardziej niż kiedykolwiek pragnęła, aby most pozostał niezdatny do użytku, aby mogła pozostać z Bradym. Ale jednocześnie, wbrew niej samej, coś ciągnęło ją w kierunku przeszłości i nic nie mogła na to poradzić.



Po tych paru dniach, kiedy nosiła tylko flanelowe koszule Brady'ego, kremowa jedwabna bluzka i płócienne spodnie wydawały się jej niewygodne. Ale przynajmniej wydawała się sobie jakby bardziej znajoma. Czuła nawet pewnego rodzaju zadowolenie, że zadrapania na twarzy prawie zupełnie zniknęły, zesza opuchlizna z czoła. Został fioletowawy siniak, który również wkrótce zblednie.

Kiedy Marissa zesza na dół, Brady doznał czegoś w rodzaju szoku. Przez ostatnich kilka dni miał do czynienia z ziemskim rodzajem seksu, jaki emanował od Marissy, kiedy paradowała po domu boso, mając na sobie tylko którąś z jego koszul. Teraz, ubrana w stylowe i najwyraźniej drogie rzeczy, z wyszczotkowanymi włosami spływającymi miękko wokół twarzy do ramion, miała w obie coś dodatkowo nęcącego. Widząc ją taką, poczuł dziwny skurcz w żołądku. Zadał sobie wiele trudu, aby nie pokazać, co czuje.

— Rozmawiałem właśnie z Tomem Harrisem. Poruszyła głową jak łania wietrząca niebezpieczeństwo.

— Wczorajsza burza przyniosła ze sobą więcej wiatru niż deszczu, tak że woda w rzece obniżyła się. Można zaczynać naprawę mostu.

— Jak długo to potrwa?

— Jutro powinien już być gotowy. — Przerwał. — Około szesnaście kilometrów w dół rzeki znaleźli twój samochód. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Gdyby nie udało ci się z niego wydostać, Marisso, utonęłabyś.

Czekała, aż wróci przerażenie, ale nic takiego się nie stało.

Nie usłysawszy odpowiedzi, Brady ciągnął dalej:

— Policja sprawdziła też ten adres. Dom był pusty, ale rozmawiali z małżeństwem mieszkającym w domku należącym do posiadłości.

— Małżeństwem? — zapytała, szukając w pamięci i niczego nie znajdując. — Co to za ludzie?

— Pracują dla ciebie już od kilku lat. Z ich zeznań wynika, że wyjechałaś z Dallas w piątek, aby załatwić formalności związane z wynajęciem jakiegoś domku letniskowego. Powiedzieli, że często wyjeżdżałaś sama na całe tygodnie i dlatego nie martwili się.

Przełknęła z trudem ślinę i osunęła się na fotel.

— Co jeszcze powiedzieli? Dobrze wiedział, o co pyta.

— Nie jesteś mężatką, ale nie są pewni, czy nie ma kogoś ważnego w twoim życiu.

— Masz na myśli mężczyznę.

— Tak — odrzekł, przyglądając się jej uważnie. — Zdaje się, że wielu mężczyzn towarzyszy ci na różnych imprezach w Dallas.

— Brzmi to tak, jakbym się tam dobrze bawiła — powiedziała tonem, który wskazywał na coś wręcz odwrotnego.

Nieubłaganie ciągnął dalej:

— Dobrą wiadomością jest na pewno to, że najprawdopodobniej masz dużo pieniędzy. Właściwie, nie ma chyba żadnej złej informacji w tym, czego się dowiedzieliśmy.

Potarła ręką czoło.

— Nie, chyba nie. Nie i w każdym razie będę miała dokąd pojechać, kiedy naprawią most, prawda?

Nieświadomie zacisnęła szczęki.

— Jeśli chodzi o most... Spojrzała na niego.

— Co z mostem?

— Chciałbym, żebyśmy tam dzisiaj pojechali. Mam nadzieję, że zobaczysz tam coś, co ci przypomni wszystko.

— Naprawdę nie możesz się już doczekać, żebym pojechała, prawda?

— Nie patrz na to w ten sposób. Kiedy wróci ci pamięć, spojrzysz na wszystko inaczej. Teraz...

— Nie jestem w porządku w stosunku do ciebie — dokończyła za niego zdanie.

— Myślałem raczej, że nie jesteś w porządku w stosunku do siebie.

Nie czuła już niczego innego poza rezygnacją.

— Pojadę z tobą na ten most.

## ROZDZIAŁ 5

— Ciepło ci, Marisso? — spytał Brady, biorąc lekko zakręt jeepem. Nie chciał, aby przejażdżka do doliny wystraszyła ją. — Możemy zamknąć okno.

— Nie, dobrze jest czuć wiatr. Poza tym — dodała — mam na sobie trzy warstwy.

Spojrzał na jej napiętą twarz i zacisnął ręce na kierownicy. Gdyby tylko istniał sposób, żeby jej to ułatwić. Nie potrafił jednak pomóc Marissie, tak jak nie potrafił pomóc sobie. Gdyby tylko mógł przyjąć miłość, którą tak bardzo pragnęła mu dać, nawet gdyby miała potrwać krótko... Ale to nie byłoby w porządku. Gdyby pozwolił na to, aby coś się między nimi wydarzyło, w końcu czułby się zbyt winny.

Była zbyt otwarta, on był zbyt zamknięty. W końcu przypominałaby sobie i odjechała. A on nie potrafiłby zapomnieć.

Znów spojrzał na nią. Przekonał ją, aby na swoją bluzkę założyła flanelową koszulę i drelichową kurtkę. Większość kobiet zginęłaby zupełnie w za dużym, męskim ubraniu, jednak na Marissie wyglądało to jakoś tak, jakby nawet w dobrym stylu. Odsłonił zęby w uśmiechu.

— Jedno wiemy o tobie na pewno, Marisso Berryman. Niezależnie od tego, jakie i ile rzeczy masz na sobie, potrafisz je nosić.

Zaskoczył ją i dodał otuchy. Uśmiech Brady'ego przypomniawszy jej, że niezależnie od tego, co się stanie za kilka minut nad mostem, on tam z nią będzie. Tak, jak od początku.

Można było powiedzieć, że wiedziała przecież o nim niewiele więcej, niż wiedziała o sobie. Ale wiedziała to, co było jej potrzebne. Był ponurym mężczyzną, mieszkającym samotnie na szczycie góry, ale zrobił wszystko, żeby się nią zaopiekować. Sprawiał, że czuła się nieprawdopodobnie bezpieczna.

Zeszłej nocy wyszedł do pracowni, żeby z nią nie siedzieć, ale najpierw przyniósł jej kolację. Dzisiaj chciał, żeby jak najszybciej odeszła z jego życia, ale martwił się, czy nie jest jej zimno. Teraz też czuła, że jedzie wolniej niż gdyby jechał sam.

Przez ostatnich kilka dni nauczyła się żyć ze smutną świadomością, że Brady nie czuje w stosunku do niej tego, co ona czuje do niego. Ale jej opinia o Bradym McCulloch nie zmieniła się. Kochała go, wierzyła mu, pragnęła go.

Z Bradym była taka spokojna. Na szczycie góry, w jego domu odczuwała pogodę i łagodność. Najchętniej zostałaaby tam z nim na zawsze, nie mając

żadnych innych wspomnień poza tymi, które stworzyliby razem. Ale wiedziała, że tak nie będzie i walczyła z sobą, aby przyjąć ten fakt do wiadomości.

Niebo nad nimi przejaśniało się, zaczął prześwitywać błękit. Dookoła, na tle zielonkawych sosen mieniły się różne odcienie czerwieni, żółci, złota i brązu. Omalże straciła życie na tej górze, ale teraz, przy boku Brady'ego mogła docenić jej piękno.

Spojrzała przez ramię na Rodina i zaśmiała się. Rodin wystawił głowę przez okno, a wiatr pieścił ją łagodnie.

— Jest chyba w psim raj, prawda? Brady skinął głową.

— Uwielbia jeździć jeepem. I przez najbliższe parę godzin będzie miał uciechę. Już od kilku dni nie mógł się porządnie wybiegać.

— Spuścisz go ze smyczy?

Twarz Brady'ego zmarszczyła się w uśmiechu.

— Rodin zna tę górę tak samo dobrze, jak ja. Wieczorem, kiedy nabiega się do woli, wróci do domu. Dojeżdżamy do rzeki, zaraz za zakrętem będzie most — powiedział z nutką ostrzeżenia w głosie.

Wyprostowała się i zebrała w sobie, ale kiedy zobaczyła wzburzoną brązową wodę i drewniany most, nie poczuła nic poza zwykłą ciekawością, jaką wzbudza coś nowego.

Brady zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Jak tylko samochód stanął, Rodin wyskoczył przez okno. Marissa patrzyła za nim, aż zniknął za drzewami. Zazdrościła mu nieskomplikowanej radości, jaką będzie przeżywał przez najbliższe kilka godzin.

Brady dotknął jej ramienia.

— Jak się czujesz? Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Jak na razie, dobrze.

— Na tyle, żeby wysiąść i pospacerować trochę?

— Oczywiście. Po to tu przyjechaliśmy, prawda? Pogodny nastrój Marissy wprowadził go nagle w nie najlepszy humor. Może nie miał racji, próbując na siłę zmusić ją do przypomnienia sobie przeszłości? Chwyił ją za rękę, kiedy otwierała drzwi.

— Nie musimy tego robić, Marisso. Spojrzała na niego zdziwiona.

— Przecież powiedziałeś...

— Nieważne, co powiedziałem. Jeśli to dla ciebie zbyt wiele, to możemy o tym na razie zapomnieć.

Wyraz twarzy Marissy złagodniał, kiedy zobaczyła jego troskę.

— Dzięki, Brady. Doceniam to, ale naprawdę dobrze się czuję.

„Cholera — pomyślał. — Teraz ona mnie pociesza. Co się ze mną dzieje?”

— Dobrze, więc chodźmy.

Wyskoczyli z jeeпа. Brady pomachał do robotników naprawiających most, a potem ku zdziwieniu Marissy, wziął ją za rękę.

— Chodźmy w dół rzeki — zaproponował.

— Tam właśnie znaleźli mój samochód? Przytaknął. Twarz miał ponurą, myślał, co musiała przejść tamtej nocy.

— Burza na pewno ograniczyła widoczność. Nie znasz tutejszych dróg. Wjechałaś na most, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Samochód wpadł przez balustradę do rzeki. Miałaś cholerne szczęście, że udało ci się z niego wydostać.

Poczuła zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

— Chyba tak.

— Musisz dobrze pływać. Po burzy w rzece jest silny prąd.

— Może byłam po prostu zdesperowana. Uścisnął mocniej jej dłoń. Wzbierał w nim gniew.

— Dlaczego, u diabła, nie zatrzymałaś się gdzieś, kiedy zaczęła się burza? Dlaczego próbowałaś czegoś tak głupiego i niebezpiecznego?

Ze spokojem przyjęła jego wzburzenie.

— Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie byłam w czasie burzy na tej górze. Potem zgubiłam się i może doszłam do wniosku, że bezpieczniej będzie skręcić w tę wąską drogę niż jechać prosto przed siebie.

— Nic nie byłoby bardziej niebezpieczne od tego, co zrobiłaś.

— Ale przecież o tym nie wiedziałam. — Racja, nie wiedziałaś.

W milczeniu szli dalej wzdłuż brzegu, aż za zakrętem stracili most z oczu. Pędząca woda burzyła się niespokojnie. Oni natomiast szli powoli, omijając błoto i kałuże. Obydwoje byli zatopieni w myślach.

Marissa pośliznęła się na skale.

Chwycił ją, zapobiegając upadkowi.

— Uważaj — powiedział ochryplym głosem, błyszczącymi oczami chłonąc jej włosy, oczy, twarz. W świetle dziennym skóra Marissy, bez makijażu, dosłownie promieniała. Puścił ją.

Szli dalej. Brady myślał o swoich flanelowych koszulach, które teraz nosiła Marissa. Co zrobi z nimi po jej wyjeździe? Schowa z powrotem do szafy czy zacznie sam w nich chodzić, aby pozbawić je wspomnień o Marissie? „Ciekawe, jak to będzie — pomyślał nagle — włożyć jedną z koszul i czuć jej zapach, dotykać ciałem materiału, na którym pozostawiła swój dotyk?”

Kroki Marissy stawały się coraz wolniejsze, aż zatrzymała się.

— To nie rzeka ani most. Drgnął.

— Co?

— Nic nie czuję, patrząc na rzekę czy na most. One nie wrócą mi pamięci.

— W takim razie, to musi być burza. Przez sen słyszałaś burzę i przyśniła ci się inna burza.

Spojrzała na niego.

— Byłam już zdenerwowana, kiedy poszłam do łóżka, Brady. Może to nie miało nic wspólnego z burzą.

„Ja też byłem wzburzony” — pomyślał. Przez wiele godzin pracował tamtej nocy, ale bez tej przyjemności, jaką zawsze dawała mu praca z drewnem. Przez cały czas miał w pamięci tylko tę przyjemność, jaką odczuwał trzymając w ramionach Marisę.

Ujął ją za ramiona i podświadomie przyciągnął do siebie.

— Wiem, że zraniłem cię wczoraj po południu. Przepraszam. Gdybyś miała jakiegokolwiek wątpliwości, to chcę ci powiedzieć, że pragnąłem, cię. Nigdy nie będziesz wiedziała, jak bardzo. Ale twój sen potwierdził tylko, że dobrze zrobiłem, zatrzymując nas w tym miejscu.

— Mój sen? — zapytała, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Był w nim inny mężczyzna.

Chciała się oburzyć na tę jego obsesję co do jej przeszłości.

— Był tam krótko.

— Ale musi być dla ciebie ważny, skoro pamiętałaś o nim po przebudzeniu.

Patrzyła na niego intensywnie.

— Czego się boisz, Brady? Boisz się mnie? Zaciśnął ręce na ramionach Marissy, ale szybko puścił ją, odpychając lekko od siebie.

— Wiem, kim jesteś teraz, Marisso. Jesteś łagodną, słodką i najbardziej kobiecą istotą, jaką kiedykolwiek znałem. Do tego stopnia, że doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Z nadzieją podniosła twarz.

— W takim razie... Podniósł rękę i przerwał jej.

— Nie wiem, kim będziesz, jaka będziesz, kiedy odzyskasz pamięć.

— Więc tak naprawdę się mnie boisz.

— Nie boję się ciebie. Jestem... ostrożny.

— Ostrożny i bardzo zapobiegliwy.

— Nauczyłem się być takim.

— Nie ma potrzeby.

— Mylisz się, Marisso. Większość ludzi jest w mniejszym lub większym stopniu zapobiegliwa. Muszę cię chronić, ponieważ nie jesteś teraz w stanie chronić się sama. Ale muszę też chronić siebie.

— Siebie?

— Chociaż nie chcesz o tym myśleć, jesteś tylko przejściowo w moim życiu.

— I to tak bardzo cię obchodzi, że czujesz potrzebę ochrony. — Była dla niego ważna. Na pewno. Zaczęła gwałtownie oddychać i zupełnie zapomniała o postanowieniu, żeby go nie atakować. — Czy nie widzisz, że to wcale nie musi być właśnie tak. Powiedziałam ci, że chcę z tobą zostać.

— Cholera, teraz tego chcesz. A co potem? Masz duży dom w Dallas. Policja знаła twoje nazwisko z gazet, gdzie często piszą o tobie w kronikach towarzyskich. To znaczy, że prowadzisz aktywne życie, masz przyjaciół, rodzinę... może kochanków.

— Kochanków? — potrząsnęła głową i długie ciemne włosy zafalowały na jej ramionach. — Nie możesz tak o mnie myśleć.

Zacisnął oczy i potrząsnął głową.

— Nie chciałem, żeby to źle zabrzmiało. Ale jestem pewien, że tam, w twojej przeszłości, są ludzie, którzy wiele dla ciebie znaczą i kiedy sobie o nich przypomnisz, będziesz chciała wrócić.

— Nie jestem głupia. Rozumiem, o czym mówisz. Ale, Brady, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że możesz się mylić?

— Nie, ale uwierz mi, że bardzo chciałbym. Rzuciła się na niego z zaciśniętymi pięściami.

— Więc niech ci przyjdzie, Brady, proszę cię.

Przez moment starał się utrzymać równowagę, aby oboje nie upadli.

— Marisso...

— Nie! Żadnych więcej słów. Jestem zmęczona mówieniem. I jestem zmęczona pożądaniem. — Zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła jego usta do swoich.

Ogień zapłonął w ciele Brady'ego. Pragnął jej od momentu, gdy pierwszy raz zobaczył te ametystowe oczy wpatrzone w niego. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie reagowała na niego w taki sposób, topiła się pod jego dotykiem, płonęła od jego pocałunków. Ale nie mógł pozwolić, aby to się stało.

Poruszyła się zmysłowo, dopasowując kształt swojego ciała do Brady'ego. Palce wsunęła pod sweter, dotykając twardych mięśni jego pleców.

— Powiedz tylko tak — wyszeptała. — Powiedz tylko...

Oderwał się od niej gwałtownie, potykając się do tyłu.

— Przestań, Marisso!

Zakryła ręką usta, aby powstrzymać szloch. Popatrzyła na Brady'ego wielkimi, urażonymi oczami. Potem odwróciła się na pięcie i zaczęła biec w kierunku jeepa.

Musiał użyć całej siły woli, aby się od niej oderwać i teraz stał przez chwilę udręczony aż do bólu i niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Jego ciało przechodziło męczarnie tak ogromnego pożądanego, że nie był zdolny nawet ją zawołać.

Dopiero kiedy zobaczył, że Marissa upadła, zaczął gwałtownie działać. Ruszył w jej kierunku, ale Marissa wcześniej zdołała się podnieść i biegła dalej. Pierwsza dopadła do jeepa i wsiadła do środka.

Brady zwolnił, aby zapanować nad sobą, zanim zbliży się do Marissy. Zdawał sobie jednak sprawę, że ta krótka chwila i parę głębokich wdechów nie wystarczy, żeby ochłonął.

Wskoczył na siedzenie i popatrzył na nią.

— Nic ci nie jest? Zaśmiała się krótko.

— Naprawdę, przestań mnie już o to pytać.

Ujął ją pod brodę i odwrócił twarz Marissy do siebie. Policzki, szyję i ręce miała brudne od błota.

— Nic ci się nie stało podczas upadku?

— Nie. — Szarpnęła się. — Po prostu zostaw mnie w spokoju. Zawieź mnie do domu.

Właśnie tego chciał — zostawić ją w spokoju. Ale chociaż włączył silnik, umyślnie opóźniał moment startu.

— Zaraz.

Oczy Marissy rozszerzyły się z niedowierzania. Była zła.

— Teraz. Boże, czego ty jeszcze chcesz ode mnie? Właśnie się na ciebie rzuciłam. Tak bardzo cię pragnęłam, że było mi nawet obojętne, gdzie się znajdujemy. Z największą ekstazą kochałabym się z tobą w błocie. — Zaśmiała się urywanie. — Wiesz, co? Teraz, kiedy o tym myślę, uważam, że miałeś rację co do mojego „tamtego” życia. Zachowuję się w stosunku do ciebie tak nachalnie, że chyba faktycznie tam, w Dallas, czekają na mnie setki kochanków.

Zacisnął zęby.

— Nie mów tak.

— Dłaczego nie? To musi być prawda. Założę się, że mam nawet jakiś pamiętnik z ich wykazem.

— Marisso... — Omalże przyciągnął ją do siebie. Potarła palcami czoło.



— Czy nie dość już poniżyłam się dzisiaj? Zawieź mnie teraz do domu albo wysiadę i pójdę sama.

Koła zaskrzypiały na żwirze. Ruszający jeep wzbil tumany kurzu. Brady wykręcił i nacisnął gaz. Nie mógł jednak skoncentrować się na prowadzeniu. Nie pozwalały na to wzburzone myśli.

Kiedy dojechali, wyskoczyła z samochodu i wpadła do domu, zanim zdążył ją zatrzymać. Klnąc pod nosem, ruszył za nią. Była w salonie i szamotała się z flanelową koszulą, starając się ją rozpiąć. Kurtka leżała już na podłodze.

Pochyliła się nad guzikami i włosy opadły, zasłaniając jej twarz.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mogę wydostać się z tej cholernej koszuli. Guziki przy kurtce były większe, ale te...

Poczuł jakby ukłucie nożem, widząc udrękę Marissy. Ból w nim narastał.

— Pomogę ci — powiedział, podchodząc do niej.

— Nie, sama potrafię. Naprawdę dam sobie radę.

— Pozwól mi — szepnął ochryplym głosem. Odsunął rękę Marissy i zaczął rozpinąć koszulę od górnego guzika.

Bliskość Brady'ego zniszczyła tę odrobinę powściągliwości, na jaką udało jej się zdobyć. Jej piersi unosiły się i opadały nierówno, kiedy starała się złapać oddech. „Nie chce mnie” — powtarzała sobie w kółko te słowa, starając się w ten sposób zachować resztki przytomności. Musiała jakoś przetrwać szalą namiętność, jaki ją ogarnął. „Nie chce mnie”.

Zakręciło jej się w głowie i zatoczyła się, przyciskając mimowolnie piersi do jego rąk.

Palce Brady'ego były nieprawdopodobnie niezdarne i powolne, zdołał odpiąć zaledwie dwa guziki. Wolałby, żeby stała spokojnie, bo dotyk nęcących, pełnych kształtów ciała Marissy pozbawiał go zupełnie kontroli nad sobą.

Kiedy się odezwał, jego głos był ochryply od powstrzymanego pożądania.

— Już prawie skończyłem. Jeszcze tylko chwilkę. Palce, jakby z własnej woli, przesunęły się i pogładziły sutek.

Poczuła ogarniające ją gorąco i wciągnęła głęboko powietrze. Czy to był przypadek? Czy też chciał ją w jakiś sposób ukarać za to, że go kochała?

— Pospiesz się — wydusiła z siebie, powstrzymując szloch. Czuła teraz jego palce na guziku pomiędzy piersiami.

— Staram się... ale chyba jakaś nitka czy coś trzyma guzik.

„Wszystko będzie dobrze” — pomyślał. Dzieliły ich jeszcze dwie warstwy ubrania, flanelowa koszula i jedwabna bluzka... a potem było już

jej ciało. Ciągłe pamiętał dotyk sterczącego sutka. Zapragnął poczuć to jeszcze raz. Brzegiem ręki przesunął przez koszulę, aż jeszcze raz poczuł wzniesiony sutek.

Z krzykiem wskazującym, że była bliska załamania, odepchnęła rękę Brady'ego i spojrzała na niego oskarżająco.

— Dlaczego mi to robisz, Brady? Wiesz, jak bardzo cię kocham i pragnę. Musisz o tym wiedzieć, tyle razy ci o tym mówiłam. Chcesz, żebym błagała cię? Tego właśnie chcesz?

Oszołomiony, potrząsnął głową.

— Nie, ja...

— Zrobię to, wiesz. Zrobiłam już wszystko poza tym. Cóż więc znaczy jeszcze jedno poniżenie? — Chwyciła za brzegi koszuli i szarpnęła z całą siłą. Guziki rozsypały się po podłodze. To samo zrobiła z kremową, jedwabną bluzką.

Teraz nie musiał już sobie nic wyobrażać. Zobaczył w całej okazałości piękno jej piersi — mlecznobiałą skórę i różowe sutki.

— Brady — wyszeptala. — Oto jestem. Dotknij mnie, kochaj mnie. Na Boga, proszę.

Gończka ogarnęła Brady'ego. Zakrył oczy rękami.

— Marisso...

— Chcesz, żebym ukłękła przed tobą? Tego chcesz?

— Nie... nie... — Krople potu pokryły jego czoło. Pragnął jej tak bardzo, że słowa uwięzły mu w gardle.

— Ty draniu! — Odwróciła się na pięcie i pędem wbiegła na schody.

— Marisso...

Usłyszała swoje imię wyszeptane ochryplym głosem, ale nie obchodziło ją to. Umęczona ponad granice wytrzymałości, nie mogła znieść, aby znów ją odrzucił. Na górze wyrzuciła Brady'ego ze swoich myśli i skoncentrowała się wyłącznie na zszarpywaniu resztek ubrania. Weszła do łazienki i odkręciła prysznic na całą moc. Musiała ochłodzić rozgorączkowane ciało.

Brady powoli wchodził po schodach. Każdy krok sprawiał mu pulsujący ból, ale myśl o miękkim ciele Marissy pchała go naprzód. Coś w nim pękło. Zniknęła gdzieś zdolność logicznego rozumowania. Nie obchodziło go teraz nic oprócz ugaznienia ognia szalejącego w jego ciele. Na półpiętrze zdjął sweter i zrzucił buty. Śladem jej rozrzuconych ubrań poszedł do łazienki.

Stała pod strumieniem wody, jakby odbywała pokutę. Czuła się, jakby obdzierano ją ze skóry. Każdy nerw płonął, wyczulony ponad granice wytrzymałości. Była zgubiona. Zgubiona...

Drzwi od prysznica otworzyły się i wszedł Brady. Miał na sobie tylko dżinsy. Nie zatrzymując się, wziął ją za ramiona i popchnął do tylnej ściany. Miażdżąc jej usta swoimi, usłyszał okrzyk zdziwienia Marissy.

Tego właśnie chciał. Pragnął jej. Marissy. Przycisnął do niej swoje ciało, przypierając ją do ściany. Objął i natarczywie gniótł jej piersi. Skóra Marissy była mokra i gładka, i tak pociągająca. Woda biła go w szerokie plecy i całkowicie zmoczyła dżinsy, ale Brady czuł tylko ją.

Raz po raz całował ją, rozgniatając usta, a potem przesunął wargi wzdłuż szyi Marissy aż do miejsca, gdzie czekały na niego prowokująco sterczące sutki. Zaczął ssać je z desperacją mężczyzny trawionego pożądaniem.

Marissa przyłgnęła do niego w uniesieniu. Nie mogła uwierzyć w to, że przyszedł do niej i był tu, z nią razem. Złapała jego głowę i przywiodła z powrotem jego usta do swoich. Jednocześnie dolną częścią ciała ocierała się o szorstkie dżinsy Brady'ego. Potrzebowała tego kontaktu, potrzebowała natychmiastowego ulżenia w bólu.

Nie było już w nim ani odrobiny ostrożności czy rozwagi. Wiedział, czego chce i dążył do tego. Włożył palce między uda Marissy, a potem do środka, a ona otwarła się ku niemu jak kwiat.

Jego dotyk przyprawił ją o spazm.

— Och, tak... Brady.

Ta niepohamowana reakcja wzmogła szalejący w nim ogień. Odpiął dżinsy, zsunął je i oparł nogę Marissy o swoje biodro. Wszedł w nią. Pchał i pchał, unosząc ją w górę i w dół, aż był w niej głęboko. Nawet wtedy pchał dalej. Ekstaza, która wydawała się nie mieć granic, ogarniała go ciągle na nowo. Czuł, że Marissa gwałtownie zbliża się do szczytowania, on jednak daleki był jeszcze od spełnienia. Czekanie na nie wywołało w nim potężne pragnienie, jego namiętność nie miała końca. Kiedy Marissę ogarnął dreszcz orgazmu i przyłgnęła do niego konwulsyjnie, podniecił się jeszcze bardziej.

Podniósł ją, wyniósł spod prysznica i położył na puszystym dywaniku w łazience. Tu jeszcze raz zagłębił się w niej.

Kłębiąca się para spod prysznica pochłonęła go. Silnymi ruchami przywiódł ją raz jeszcze do orgazmu. Potem jeszcze raz. I potem w końcu przeżył to sam.

Krótko po północy leżała obok śpiącego, luźno ją obejmującego Brady'ego. Coś jej przeszkadzało, coś zawzięcie krążyło po głowie. Nie mogąc spać, pozwoliła myślom krążyć wolno, zbyt zmęczona i nasyciona, aby nimi pokierować.

Zastanawiała się sennie, co ją niepokoiło. Namiętność, którą przeżyła z Bradym parę godzin temu spełniła wszystkie jej oczekiwania. Nawet je

przewyższała. Bardzo. Jediną rzeczą, która mogłaby uczynić to przeżycie jeszcze doskonalszym, byłoby, gdyby powiedział, że ją kocha. Ale przynajmniej teraz nie będzie chciał, żeby od niego odjechała. Zostanie z nim. Była przekonana, że z czasem Brady zacznie ją tak kochać, jak ona jego.

Powieki jej stały się ciężkie, gęste, ciemne rzęsy opadły, rzucając cień na policzki. Unosiła się gdzieś między snem a jawą, między świadomością a podświadomością. Słyszała przybierający na sile wiatr i uderzenia deszczu o szyby. „Drogi będą śliskie” — pomyślała. Muszą być bardzo ostrożni. Błyskawica rozświetliła pokój i zagrzmiało... Nie, błyskawica rozświetliła wnętrze samochodu.

Zmarszczyła brwi.

Deszcz uderzał o metalowy dach samochodu. Słyszała hałas — zderzenie, dźwięk tłuczonego szkła, krzyk. Ból przeszył brzuch Marissy. Nie mogła się poruszyć. Była w pułapce.

A potem go zobaczyła. Odchodził, zostawiając ją.

Potem pojawiły się oślepiające światła. I obce twarze.

Usiadła prosto na łóżku z szeroko otwartymi oczami.

Poczuła na skórze kropelki potu, drżała na całym ciele. Popatrzyła w okno. Nie błyskało się, nie grzmiało ani nie padał deszcz. Ale wszystko było w jej głowie tak wyraziste, jak żywy obraz albo film, i obraz nie opuszczał jej.

Wtedy zrozumiała. To nie był sen.

Wszystko nagle powróciło. Delikatnie, aby nie zbudzić Brady'ego, zsunęła się z łóżka i zeszła na dół. Długo siedziała przed kominkiem z Rodinem u stóp. Analizowała ciągle od nowa wydarzenia ostatnich paru dni i porównywała je ze swoim życiem — swoim prawdziwym życiem. Ciągle powracała zimna i twarda świadomość tego, że nie mogła kochać Brady'ego.

Brady obudził się o świcie i zaintrygowany nieobecnością Marissy zszedł na dół.

— Marisso, co robisz tutaj?

— Nie mogłam spać i nie chciałam ci przeszkadzać.

— Powinnaś już wiedzieć, że nigdy mi nie przeszkadzasz. — Obrzucił ją czujnym spojrzeniem. Zauważył wszystko. Twarz miała bledszą niż zwykle, a ciało spięte pod wpływem jakiegoś silnego przeżycia. — Ogień wygasł — powiedział cicho. — Nie jest ci zimno?

— Nie.

Dorzucił do kominka drewna i zapalił na nowo. Potem usiadł obok Marissy.

— Coś się stało, prawda? Skinęła głową, nie patrząc na niego.

— Przypomniałam sobie... wszystko.

Robił przecież wszystko, co było w jego mocy, aby pomóc jej przypomnieć sobie, ale nie był na to przygotowany. Krew zahuczała mu w uszach. Tego właśnie chciał przez cały czas, a teraz, kiedy wróciła jej pamięć, pragnął, żeby wszystko było między nimi jak przedtem.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała po łbie Rodina. Kiedy przestała, pies zaskomlał, ale Marissa zdawała się tego nie słyszeć.

— Dziś rano załatwię wszystkie sprawy związane z wyjazdem do domu. Chybajest w Samsonville firma wynajmująca samochody?

— Chcesz wynająć samochód, żeby pojechać do domu? Skinęła głową.

— Chyba będę musiała skorzystać z twojej karty kredytowej, ale jak najszybciej postaram się zwrócić ci wszelkie koszty...

— Cholera, przestań. A co z tą nocą?

Nie odpowiedziała mu, przeciągające się milczenie stało się tak głośne, że Brady pomyślał, iż zaraz ogłuchnie.

— Spójrz na mnie, Marisso. — Odwrócił ją do siebie i przez moment był sparaliżowany chłodem, jaki ujrzał w ametystowych oczach Marissy. Nigdy nie spodziewał się, że zobaczy w nich taki wyraz.

— Ta noc była wspaniała, Brady, ale to koniec. Mogę teraz wrócić do własnego życia, a ty możesz wrócić do pracy.

Poczuł się, jakby otrzymał cios w splot słoneczny i teraz on zamilkł.

— Musisz chyba odczuwać satysfakcję wiedząc, że cały czas miałeś rację.

Z trudem przełknął ślinę.

— Naprawdę? — udało mu się w końcu powiedzieć.

— Mówiłeś, że kiedy sobie przypomnę, będę chciała wrócić. Cóż mogę powiedzieć? Miałaś rację.

Starając się walczyć z nierealnością swoich własnych słów, rzuconych mu teraz z powrotem, odparł:

— Marisso, powiedziałeś, że mnie kochasz. — Był zły, że zabrzmiało to jak błaganie. Sięgając do wszystkich źródeł, jakie w nim były, chciał przywołać na pomoc dumę i gniew.

Wstała gwałtownie, przekroczyła Rodina i odeszła parę kroków.

— Przepraszam cię za to. To musiało być dla ciebie krępujące.

— Czasami było ciężko — odparł, powoli dochodząc do siebie — ale jakoś dawałem sobie radę.

Stała cicha i poważna.

Nie wiem, jak mam ci dziękować. Ocaliłeś mi życie. Nie mogę nic zrobić, żeby ci się zrewanżować, ale... Machnął ręką na jej podziękowania.

— Jest tylko jedna rzecz, o którą chcę cię zapytać, zanim odjedziesz, tak z czystej ciekawości.

Zesztywniała, czekając i próbując być dzielną jeszcze chwilę dłużej.

— Czy w domu czeka na ciebie jakiś mężczyzna? Podniosła głowę i popatrzyła na niego.

— Nie.

— Więc dlaczego odchodzisz?

— Ponieważ muszę. Ponieważ tak będzie najlepiej. I dla ciebie, i dla mnie. Teraz, jeśli pozwolisz, pójdę na górę i pozbieram swoje rzeczy — z podniesioną głową ruszyła w kierunku schodów.

RS

## ROZDZIAŁ 6

„Nic się nie zmieniło” — myślała Marissa. Siedziała, wygodnie oparta o miękkie poduszki na tapczanie w swoim salonie w Dallas, i leniwie popijała kawę. Pod wieloma względami było tak, jak gdyby nigdy nie wyjeżdżała.

Czekał na nią stos listów z zaproszeniami na przyjęcia i prośbami o pomoc w zorganizowaniu imprez dobroczynnych lub przewodniczenie jakiemuś komitetowi. Już sama myśl o tym przygotowała ją o znużenie. Było to dziwne, bo przecież od lat bez mrugnięcia okiem podejmowała wszystkie zobowiązania towarzyskie. Ale stanąwszy twarzą w twarz ze śmiercią i przeżywszy, widziała teraz wszystko inaczej. Być może jej wysiłki były zbyt rozproszone. Może powinna wybrać sobie jeden rodzaj działalności dobroczynnej i jej się poświęcić. Pomyśli o tym.

A tymczasem... Rozejrzała się dookoła, jakby oczekując, że piękno i cicha wytworność domu, w którym mieszkała, uspokoi ją, tak jak zwykle.

Wszędzie widać było efekty jej pracy. Nie liczyła się w ogóle z kosztami, aby osiągnąć efekt, jakiego pragnęła. Dywan, ściany i większość mebli wykorzystwała w ten sposób, aby otrzymać białe tło. Potem, w zależności od pory roku i własnego nastroju, oszczędnie stosowała zimne kolory tak, aby całość wyglądała, jak z katalogu meblowego.

Tego dnia jednak nie odczuła satysfakcji, jaką zwykle dawał jej wystrój mieszkania. Skierowała uwagę na okna ozdobione udrapowanym jedwabiem oraz na doskonale utrzymany trawnik i ogród. Zamiast tego ujrzała jednak górę w barwach jesieni, a na szczycie dom z drewna i kamieni. A w domu mężczyznę i psa.

— Marisso, kochanie, nie mogłam uwierzyć”, że tak szybko wróciłaś. — CeCe wpadła do pokoju jak wiatr. Była pewną siebie blondynką, pełną entuzjazmu i energii.

CeCe Kavanaugh była nie tylko jej długoletnią przyjaciółką, była też najmiłą i najbardziej nieskomplikowaną osobą, jaką Marissa знаła. „Właśnie CeCe jest mi teraz potrzebna” — pomyślała Marissa.

— Plotkarze pracują chyba w nadgodzinach. Skąd się dowiedziałaś?

— Żartujesz sobie? Wszystkie gazety piszą o twoim wypadku.

Marissa jęknęła.

— Wspaniale, po prostu wspaniale.

CeCe usadowiła się w przeciwległym rogu kanapy.

— Cóż, ja bym się nie martwiła. Piszą tylko, że pojechałaś do Arkansas na wakacje, zaskoczyła cię burza, zjechałaś z mostu, ale udało ci się ocalić i

wszystko jest w porządku. — Pochyliła się do przodu. — I pomyśleć, co przeżyłaś. Jak się czujesz?

Marissa wskazała na siebie ręką i przejechała od stóp do głowy.

— Jak widzisz, czuję się dobrze. Napijesz się kawy?

— Nie, dzięki. Boże, ten siniak na czole. Bardzo boli?

— Ani trochę.

— A twoje paznokcie! — W jej głosie zabrzmiało przerażenie. — Marisso, musisz koniecznie umówić się z manikiurzystką.

— Zajmę się tym. Słuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to porozmawiajmy o czymś innym. Jestem już w domu i chcę o tym wszystkim zapomnieć.

— Było aż tak źle? Marissa zawahała się.

— Tak i nie. — Kiedy znalazła Brady'ego, było wspaniale. Odsunęła od siebie tę myśl i przybrała pogodny i zdecydowany wyraz twarzy. — Opowiedz mi o wszystkim, co się przez ten czas wydarzyło.

— Niewiele tego było — powiedziała CeCe, wyraźnie rozczarowana postawą Marissy. — Nie było cię ponad tydzień.

— Och, mów — zachęcała Marissa. — Musiało się coś wydarzyć.

— No cóż... Robertsowie wydali, jak co roku, przyjęcie na rzecz bezdomnych. Ale wiesz przecież o tym, bo byłaś zaproszona. Brakowało cię tam, oczywiście. Nikt, nawet ja, nie rozumie, dlaczego wyjeżdżasz sama.

— Paul i Kathy byli na przyjęciu?

— Tak i powiem ci coś. Kathy Garth wygląda jak cholerna, chodząca reklama ciąży. Jest nieprzyzwoicie wręcz rozpromieniona.

— I wszyscy są zazdrośni, tak?

— Tak. Przy okazji, Trący Wells została wybrana na przewodniczącą przyszłorocznej akcji dobroczynnej.

— Wspaniale. Ona robi to dobrze.

— Na pewno. Ale będzie się musiała solidnie natrudzić, aby dorównać temu, co ty zrobiłaś dwa lata temu. — Wykonała gwałtowny ruch ręką z pięknie pomalowanymi paznokciami. — To wszystkie nowości, jakie przychodzą mi do głowy, a poza tym, umieram z ciekawości. Co się stało?

Marissa westchnęła.

— Dokładnie to, co piszą w gazetach. Spadłam wraz z samochodem z mostu w czasie burzy.

— To cud, że nie utonęłaś. Jak się uratowałaś?

— Udało mi się wydostać z samochodu i dopłynąć do brzegu. Potem znalazłam... dom. Jego mieszkańcy wzięli mnie do środka...

CeCe cmoknęła.



— Miałaś kupę szczęścia. Kim oni byli?

Powinna była wiedzieć, że przy CeCe nie uda jej się sfalszować wydarzeń.

— To był mężczyzna — powiedziała niechętnie. Nie pozwalała sobie nawet myśleć o B radym, a co dopiero mówić o nim. — Właściwie bardzo miły mężczyzna.

CeCe z irytacją wywróciła oczami. — Na Boga, Marisso, o wiele łatwiej jest już u dentysty niż tu z tobą. Kim był ten bardzo miły mężczyzna?

— Nazywał się Brady McCulloch.

— Brady McCulloch — szepnęła CeCe, powtarzając nazwisko w zamyśleniu. Potem wyprostowała się nagle jak porażona prądem. — Chyba nie ten Brady McCulloch, słynny rzeźbiarz?

Marissa popatrzyła na nią w osłupieniu. Oczywiście, to był ten Brady McCulloch.

Przypomniała sobie, jak mówił, że pracuje z drewnem, i że sam zrobił fotel na biegunach i parę innych mebli. Przypomniała też sobie pracownię za domem, której nigdy nie poszła obejrzeć. Gdzieś w głębi umysłu przez cały czas wiedziała kim on jest, ale to wydawało się nie mieć znaczenia.

Brady-mężczyzna był dla niej nieskończenie bardziej istotny, niż Brady McCulloch — uznany na całym świecie rzeźbiarz.

— Mieszka w Ozarks, wiesz — mówiła CeCe — już od lat, kiedy to po prostu rzucił wszystko i zniknął ze sceny towarzyskiej. — Ponieważ Marissa nie odezwała się ani słowem, CeCe trzepnęła ją w ramię. — No więc, czy to ten sam Brady McCulloch?

— Najwyraźniej tak.

Brady rzucił dłutem przez wielką pracownię, prawie trafiając w drewno bukowe stojące daleko na ławie. Dłuto upadło na podłogę. Brady wyrzucił z siebie wiązaną przekleństw, a potem odwrócił się do Rodina, który zwinął się w kłębek w bezpiecznej odległości.

— Nie patrz tak na mnie.

Rodin położył łeb między przednimi łapami i popatrzył z wyrzutem na swojego pana.

— Wyjechała już tydzień temu. Skończyło się. Podszedł majestatycznie do leżącego na podłodze dłuta i schylił się po nie. Musnął wzrokiem kawałek drewna i z powrotem spojrzął na dłuto. Każdy kawałek drewna miał swoją własną osobowość, czasami było więcej czasu, żeby ją odkryć, czasami mniej. Ten kawałek miał już kilka lat i czekał, aż drewno podpowie mu, czym ma być. Wokoło było także dużo innych kawałków drewna czekających cierpliwie, aż tchnie w nie formę i nada im kształt. Ten właśnie

kawałek drewna interesował go szczególnie, ponieważ nie był prosty. Od podstawy stopniowo przechodził w wewnętrzny łuk. Obszedł dookoła stół, bacznie studiując przez cały czas drewno pod różnymi kątami. Nagle przyszedł mu do głowy pomysł stworzenia kobiety zwróconej do swojego wnętrza. Zirytowany, odwrócił się.

— Zmieniła się — mruknął, wypowiadając wreszcie to, co go trawiło. — Wiedziałem, że się zmieni, odzyskawszy pamięć. Nie spodziewałem się jednak, że będę tak cholernie miał rację.

Powrócił do dużej figury z drewna wiązowego, nad którą właśnie pracował. Ta rzeźba była dopiero w początkowym stadium i na razie miała kształt tylko w jego wyobraźni, ...podobnie, jak nastrój, jaki w końcu będzie niosła ze sobą rzeźba. Nastrój burzy.

Sięgnął po pilnik. „Co robię? — pomyślał. Nie chciał pilnika. Odrzucił narzędzie na bok. — Jeśli nie będę uważał, zmarnuję ten kawałek”.

— Była taka oddana — wycedził przez zęby. — Taka niewinna... taka słodka. — Utkwił wzrok w Rodinie. — A potem powróciła do jakiejś przeklętej skorupy.

Podszedł do bukowego drewna. Może głowa kobiety... pochylona głowa, niewidzące oczy. Kobieta, która się wycofała. Drewno bukowe ma falujący rytm i to mu pozwoli wykończyć rzeźbę zmysłowo. Tak, to będzie doskonałe.

— Ludzie budują sobie skorupki, kiedy się ich rani — mruknął, wpatrując się w kłoc drewna. — Wyczuwałem, że nie chce sobie przypomnieć przeszłości. Cokolwiek przeżyła, musiało to być straszne. Och, do licha. Co ja robię? — Szedł przez pracownię do rzeźby z wiązu, kiedy nagle zatrzymał się i stał niezdecydowany pomiędzy nastrojowym, niespokojnym wiązem i bukiem, który zdawał się zawierać w sobie kobietę, która mogłaby zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie swoją zimną i odległą urodą. — Kochaliśmy się, ale w końcu to nie miało żadnego znaczenia. Najmniejszego znaczenia. Rodin otworzył pysk i ziewnął.

Marissa, stojąc przed galerią Whitmere'a, prowadziła ze sobą ożywioną rozmowę. Była tu po prostu z czystej ciekawości, powiedziała sobie stanowczo. To jedyna przyczyna. A dlaczego właściwie nie miałyby być ciekawa? Przecież spędziła z tym człowiekiem kilka dni w jego domu. Zakochała się w domu, który wybudował ...i zakochała się w nim. Albo raczej myślała, że się zakochała.

Ale zainteresowanie jego pracą było normalne. Gdyby go nie spotkała i tak chciałaby zobaczyć jego dzieła. Każdy by chciał. Tak się upewniając, otworzyła drzwi galerii i weszła.

— Czy mogę pani pomóc?

Marissa odwróciła się i ujrzała dystyngowanego, siwowłosego mężczyznę, w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat. Ubrany był w szary garnitur w prążki.

— Tak. Telefonowałam wcześniej. Chciałam obejrzeć prace Brady'ego McCullocha.

— Ach, tak. Rozmawiała pani ze mną. Nazywam się Lawrence Whitmere, a pani jest panią Berryman.

— Tak.

Zatarł dłonie, najwyraźniej zadowolony.

— Tak jak powiedziałem pani przez telefon, mamy zaszczyt posiadać trzy rzeźby McCullocha. Wie pani, on nie traktuje swojej pracy jak dobrego interesu. W odróżnieniu od większości artystów. Nie przyjmuje żadnych zamówień, a są lata, kiedy nie wypuszcza w świat żadnego nowego dzieła. Kiedy dowiedzieliśmy się, że te rzeźby są do zdobycia, walczyliśmy o nie. Z dumą mogę powiedzieć, że wygraliśmy.

— Mogę je zobaczyć?

— Oczywiście. Proszę za mną. — Prowadząc ją wzdłuż hallu, ciągle mówił: — Jest pani jedną z pierwszych osób, które je zobaczą. Nie zaczęliśmy jeszcze nawet wysyłać zaproszeń na licytację. Myślę, że zgodzi się pani, iż są to dzieła wyjątkowe. Jedno w brązie, stworzył je około trzynastu lat temu, o ile się nie mylę. Pozostałe dwa są wykonane w drewnie.

Weszli do dobrze oświetlonej, przestronnej sali. Trzy rzeźby stały na podestach: Każda z nich pełna była życia i ruchu. Środek pokoju zdominowała duża wspaniała rzeźba, przedstawiająca trzy unoszące się nad ziemią jelenie — ich oczy były szeroko otwarte, uszy sztywne, ogony zadarte do góry. W rzeźbie uchwycona była naturalna moc i siła tych zwierząt Okrążyła dzieło, muskając ręką ich sierść z brązu, czując napięte ścięgna i faliste mięśnie. Nastrój rzeźby był nastrojem siły i radosnej wolności. Gdyby poszła do lasu z Rodinem, być może zobaczyłaby te właśnie jelenie.

— Tą właśnie rzeźbą jest bardzo zainteresowane nowojorskie Metropolitan Museum of Art — powiedział pan Whitmere.

Skinęła głową i przeszła do następnej rzeźby.

— To jest *lignum vitae* — oznajmił pan Whitmere, idąc jej śladem. — Zdaje się, że jest to najlepsza rzeźba McCullocha średniego rozmiaru.

Marissa w milczeniu podziwiała wspaniałą rzeźbę matki pochylonej nad śpiącym dzieckiem. Brady wziął kawałek drewna i jakimś sposobem tchnął w niego życie, czułość, uczucie. Nie dotykając rzeźby, przeszła dalej.

— Wie pani, wszyscy byli zaskoczeni, kiedy McCulloch wyjechał do Ozarks — komentował leniwie Whitmere.

— Czy ktoś wie, dlaczego to zrobił?

— Nie. Był młodym mężczyzną, mającym bodajże największe powodzenie w Ameryce, jego dzieła zyskiwały rozgłos i uznanie na całym świecie, wtedy... — Wzruszył ramionami. — Ale wszyscy są zgodni, że jego najlepsze rzeźby powstały właśnie w ciągu ostatnich piętnastu lat.

Ostatnia rzeźba była najmniejsza. Przedstawiała starego człowieka, siedzącego na werandzie i strugającego coś z wyrazem niezwykłego zadowolenia na twarzy.

„Wszystko się zgadza” — pomyślała. Brady wychował się w Ozarks, gdzie było mnóstwo rzemieślników rzeźbiących w drewnie. Być może jako młody chłopiec obserwował starca rzeźbiącego w kawałku drewna psa lub sarnę. Może rzeźba ta była hołdem Brady'ego złożonym jego własnym korzeniom.

Długą chwilę stała, rozmyślając o tym starym mężczyźnie, i w końcu doszła do wniosku, że nieważne były intencje Brady'ego McCullocha, dotyczące tej właśnie rzeźby. Dla niej była ona wspomnieniem czasu, który przeżyła na wzgórzu z człowiekiem, który powiedział jej po prostu, że pracuje z drewnem, nie dodał tylko, że robi to tak, jak jeszcze nikt dotąd.

— Chciałabym ją kupić — powiedziała. Twarz Whitmere' a wyrażała napięcie.

— Powiedziałem pani przecież, że jeszcze nie zaczęliśmy wystawiać na licytację.

— Zapłacę trzy razy tyle, ile wynosi minimum.

— No cóż... — Przyjrzał się eleganckiej młodej kobiecie, stojącej przed nim, kobiecie, o której wiedział, że jest filarem towarzystwa Dallas. Sprzedanie jej rzeźby mogło-by zaowocować w przyszłych interesach. Uśmiechnął się. — Myślę, że możemy zrobić dla pani wyjątek, pani Berryman.

W godzinę później na lunchu, kiedy poproszono ją, aby prowadziła cały program, odkryła, że nie ma pojęcia, jaki był cel tego wszystkiego. Błefowała więc aż do podania kurczaka, podniosła się wreszcie i pożegnała.

Zamierzała pojechać prosto do domu i była zaskoczona, kiedy zdała sobie sprawę, że parkuje swoje BMW przed zakładem „Dekoracje Kathy Craft”.

W środku ujrzała kobietę w ciążowych dżinsach i ogromnej bluzie z Robertem Plantem z przodu i datami koncertów z tyłu. Młoda kobieta odrzuciła do tyłu gęste, kręcone, rude włosy i podeszła do Marissy.

— Marisso, cudownie, że wróciłaś.

— Cześć, Kathy. Miałam nadzieję, że cię tu zastanę. — Marissa przeszła pomiędzy jedwabnymi i wełnianymi kwiatami na zaplecze wraz z właścicielką sklepu, Kathy Garth.

Kathy położyła rękę na wystającym brzuchu i uśmiechnęła się.

— Paul pozwala mi spędzać" tylko kilka godzin w sklepie, kiedy nasze maleństwo jest w drodze. Ale mnie to nie przeszkadza. Mam dobrą pomoc i poza tym — zamrugwała radośnie turkusowymi oczami — jest tyle do zrobienia w nowym domu, żeby przygotować go na przyjęcie Paula Gartha juniora. Jestem przez cały czas zajęta.

Marissa otworzyła usta w zdziwieniu.

— Chłopiec? Dowiedziłaś się, że będziesz mieć chłopca?

Kathy radośnie skinęła głową.

— Miałam test. Wszystko jest w porządku i teraz wiem, w jakim kolorze urządzić pokój dziecienny.

— Och, Kathy, tak się cieszę szczęściem twoim i Paula.

— Jesteśmy bardzo szczęśliwi.

Promienny uśmiech na twarzy Kathy oznaczał, że zrozumiała, i Marissa poczuła gdzieś w okolicy serca kłującą zazdrość.

— Muszę zatelefonować do Paula.

Kathy zmieniła się teraz z przyszej matki w troskliwą przyjaciółkę.

— Oczywiście. Kiedy przeczytał o twoim wypadku w Arkansas, jak oszalały pobiegł na policję, żeby zdobyć jakieś informacje. Gdyby nie to, że byłaś w tak niedostępnej okolicy i pogoda była taka wstrętna, na pewno pojechałby po ciebie. W końcu policji udało się go przekonać, że nic ci nie jest. Tak było?

Marissa skinęła głową i dotknęła czoła.

— Pod makijażem prawie nie widać siniaka.

— Brzmi to tak, jakby mogło być o wiele gorzej. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakie to musiało być dla ciebie straszne.

Marissa nie chciała z nikim rozmawiać o wypadku i świadomość tego niepokoiła ją. Tak jakby te dni spędzone z Bradym były zbyt bolesne... zbyt wspaniałe... aby dzielić się nimi z kimkolwiek.

— Słuchaj, Kathy, czy nie mielibyście z Paulem ochoty przyjść do mnie na obiad?

— Jesteś pewna, że czujesz się na tyle dobrze?

— Oczywiście.

— W takim razie, chętnie. Czekał chwilę, jutro wieczorem jest przyjęcie dobroczynne na rzecz stypendiów.

— Rzeczywiście, masz rację. Może ja też pójdę. W każdym razie coś się będzie działo. A więc pojutrze?

— Fajnie. Sprawdzę w terminarzu Paula i dam ci odpowiedź.

Kathy przyglądała się przez chwilę ubiorowi Marissy. Miała na sobie prostą sukienkę z czarnego jedwabiu i zielony kaszmirowy żakiet do pasa. Czarne pończochy i czarne skórzane buty na wysokich obcasach dopełniały całości. Pod wpływem impulsu powiedziała:

— Wyglądasz bajecznie.

— Powiedziałam ci, to tylko makijaż — odparła lekko.

— Ja wiem lepiej. Nawet z płaskim brzuchem nigdy nie udało mi się wyglądać jak ty. Zawsze podziwiałam twój styl.

— Pozwól, że ci przypomnę, iż Paul ożenił się z tobą, a nie ze mną.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Kathy.

— To prawda, dzięki Bogu. W każdym razie to wspaniale, że wróciłaś.

Marissa uśmiechnęła się.

— Też się cieszę, że już jestem w domu.

Parę minut potem skierowała samochód ku domowi, który kupiła po rozwodzie z Wrightmanem. To właśnie tu należała, wszyscy jej przyjaciele i znajomi byli w Dallas.

Zatrzymała samochód przed domem, zaparkowała i zmroziło ją. Zobaczyła bowiem siedzącego niedbale na schodach mężczyznę z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami w dżinsach.

## ROZDZIAŁ 7

Brady podniósł się i spokojnym krokiem obszedł samochód, którego silnik nie tyle warczał, co mruczał. Otworzył drzwi i sięgnął do środka, aby wyłączyć stacyjkę. Potem zdecydowanym ruchem chwycił ją za ramię i pomógł wysiąść.

— Witaj, Marisso. Piękny samochód. W zastępstwie tego, który wpadł do rzeki?

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

Uśmiechnął się.

— Ze sposobu, w jaki prowadzisz, wnoszę, że bezpieczniej byłoby, gdybyś kupiła coś o mniejszej mocy.

— Co ty tu robisz, Brady?

— Również jestem szczęśliwy, że cię widzę. — Dotknął lekko palcem blednącego siniaka na czole. — Jak się czujesz? Uprzedzając twoje pytanie, ja czuję się świetnie. Twoja Lillian nie mogła zrozumieć, dlaczego nie chcę zaczekać w salonie, ale gdy wyjaśniłem jej, jak dobrze robi ci świeże powietrze, zostawiła mnie w spokoju.

Lekki popołudniowy wiatr zmierzwił ciemnobrązowe włosy Brady'ego. Staloszare oczy świdrowały ją z jakąś hipnotyczną siłą. Rozejrzała się dziko i spostrzegła jeepa zaparkowanego na ulicy. Jak mogła go nie zauważyć?

— Co tu robisz, Brady?

— Przyjechałem cię odwiedzić, oczywiście. — Wziął ją znów za ramię i zaczął prowadzić w stronę domu. — I wiem, że zaprosisz mnie do środka. Gościnność jest wszak najważniejsza w Teksasie, nieprawdaż?

Ogarnęło ją podniecenie i lęk, jej uczucia były tak pogmatwane, jak myśli. Odzyskiwała właśnie swoje życie. Odwiedzała znajomych, brała udział w działalności różnych klubów i organizacji, umawiała się na spotkania. To było jej życie, prawdziwe życie.

Nie chciała tutaj Brady'ego.

Kupiła jego rzeźbę w momencie słabości. Ale nawet fakt, że rzeźba będzie jej ciągle przypominać Brady'ego McCullocha, nie niepokoiła jej zbytnio. Było to tylko coś wyrzeźbionego z kawałka drewna. Ale człowiek obok niej miał gorącą krew, oddychał i był niezwykle męski. Co więcej, był to mężczyzna, z którym kochała się do utraty zmysłów.

Kiedy włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi, opuściła głowę, aby ukryć rumieniec, jaki oblał jej policzki. „To przeszłość — powiedziała



sobie, starając się tchnąć więcej siły w nogi i kręgosłup. — To jest terazniejszość". Wróciła jej pamięć i wszystko układało się dobrze.

Jednakże chwilę później, kiedy patrzyła na Brady'ego przechodzącego z hallu do salonu, poczuła się bezsilna. „Zagłada jest nieunikniona — pomyślała, potem zbesztła się. — Nonsens!" Potrafi zapanować nad sytuacją. Przecież to ona opuściła jego, nie odwrotnie.

Brady wsunął ręce do kieszeni i rozejrzał się po białym salonie i jego pełnej przepychu elegancji.

— Nieźle mieszkanko masz, Marisso, i na pewno nie jest ci w nim ciasno. Nie umiem sobie wyobrazić, co robisz w tych wszystkich pokojach.

Podczas gdy jego uwaga zaprzątnięta była czymś innym, Marissa obserwowała go. Starła się przypomnieć sobie, że kiedyś ten mężczyzna o zimnych oczach przynosił jej ukojenie. Nawet w tak dużym pomieszczeniu, jakim był salon, Brady dominował na całej jego przestrzeni. Właściwie, patrząc na niego, stwierdziła, że był najpotężniejszym mężczyzną, jakiego znała. A kiedy kochali się...

Nagle odwrócił głowę w jej kierunku.

— Gdzie jest Rodin? — zapytała szybko, zdenerwowana, że ją zaskoczył.

— Z wizytą u swojej mamy. Pomyślałem, że tam mu będzie lepiej.

Chociaż w jego głosie nie było wyrzutu, nagle zobaczyła swój nieskazitelnie urządzone i czysty dom jego oczami. Zrozumiała, że według niego nie było tu miejsca dla szczęśliwego, wesołego, czasem niezdarne Rodina.

Kiedy pomyślała o godzinach spędzonych z Rodinem, który pocieszał ją już samą swoją obecnością, ogarnął ją niezrozumiały smutek.

Brady podszedł do stołu i wziął do ręki wazę. Wyglądała jak cylinder z lodu. Przełożył ją z ręki do ręki, jakby chciał stopić ją ciepłem swego ciała.

Gdyby ktokolwiek inny obchodził się tak niedbałe z tak drogocenną rzeczą, zaniepokoiłaby się. Ale Brady miał silne, pewne ręce. Powierzyła im kiedyś swoje ciało.

Przebiegł ją dreszcz i objęła się w tali ramionami.

— Nie domyśliłam się, kim jesteś, dopóki nie wróciłam do Dallas.

Odstawił wazę na stół i spojrzął na nią błyszczącymi oczami.

— Czulaś wtedy, że wiesz, czego potrzebujesz: kochałaś się ze mną. I mimo tego, co powiedziałem wtedy o mężczyznach w twoim życiu, gdzieś głęboko w duszy wiedziałem, że nie jesteś amatorką przypadkowych znajomości. Jest po prostu coś w twojej wspaniałej sylwetce, co uderza



mnie jako zbyt wyrafinowane. I teraz, kiedy jestem u ciebie w domu, widzę, że mam rację.

Z trudem powstrzymała drgnięcie.

— Miałam na myśli, że nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jesteś światowej sławy rzeźbiarzem.

— Byłaś zdezorientowana przez parę pierwszych dni. Co było później?

Wyprostowała się.

— Nie każdy na świecie wie, kim jesteś, Brady. Zmniejszył dystans pomiędzy nimi, aż w końcu czubki ich butów stykały się.

— Nie każdy, ale ty wiedziałabyś. Sztuka odegrała ważną rolę w twojej edukacji i wychowaniu. I ponieważ nie skojarzyłaś sobie tego, wnioskuje, że po prostu nie było to dla ciebie ważne. Był to taki moment twojego życia, w którym najważniejsze było naprawdę najważniejsze. Prawda?

Nie próbował jej dotknąć, ale odczuła potrzebę odsunięcia się od niego o krok.

— Dlaczego tu jesteś, Brady?

— O ile się nie mylę, zadałaś mi to pytanie już trzy razy.

— Więc powiedz mi.

— Można powiedzieć, że byłem ciekaw, jak wygląda miejsce, do którego tak się spieszyłaś. Powiedziałaś, że nie czeka tu na ciebie żaden mężczyzna. Ciekaw jestem, czy chodzi o ten dom. To w twoim stylu, to znaczy, osoby, jaką jesteś teraz.

Spojrzała na niego lodowato.

— Czego chcesz?

Pochylił głowę, aby przyjrzeć jej się, jakby nie wierzył, że zadała to pytanie.

— Przecież właśnie ci powiedziałem.

— Nie. Jest coś jeszcze.

— Przykro patrzeć, jak stałaś się nieufna.

— Brady, nie odpowiedziałeś mi.

— To bardzo odważne pytanie, Marisso. Jesteś pewna, że masz dość siły, aby usłyszeć odpowiedź?

— Chyba będziesz musiał wyjść...

— Aha, to wcale nie świadczy o twojej odwadze. Ale oszczędź sobie głosu i energii. Nie mam zamiaru wychodzić.

— Więc, cholera, odpowiedz na moje pytanie. Uśmiechnął się, zadowolony z jej wybuchu.

— To naprawdę proste. Przemyslałem wszystko. Wzrok Marissy stał się niepewny.

— Co?

— Pomogłem ci odejść z mojego życia, Marisso. Zawiozłem cię do Samsonville. Wytrzymałem tydzień. — Przerwał. — Ponieważ nie widzę spakowanych bagaży przy drzwiach, przygotowanych do podróży do Arkansas, domyślam się, że ty nie miałaś żadnych problemów z przystosowaniem się do życia beze mnie.

— Czy to znaczy, że ty miałaś?

— To znaczy, że miałem tyle problemów, iż zostawiłem Rodina u jego matki i przyjechałem za tobą. — Przejechał ręką po włosach. Była to pierwsza oznaka niedoskonałego jednak opanowania. — Spotkaliśmy się, Marisso, uczucia rozwinęły się, aż osiągnęły szczyt. Wtedy wyjechałaś.

Stała, jakby przyrośnięta do miejsca, świadoma niebezpieczeństwa. Bez słów potrząsnęła głową. Zanim zrozumiała jego zamiary, przycisnął ją do siebie.

— Nic się jeszcze między nami nie skończyło. Kto wie? Może nigdy się nie skończy. Albo też nic więcej z tego nie będzie. Muszę to wiedzieć.

Z trudem przełknęła ślinę, poczuła ból w gardle. Kiedy się odezwała, jej głos przypominał szept.

— To, co się stało między nami, to moja wina, Brady. Biorę na siebie całą odpowiedzialność. Rzuciłam się na ciebie, wiem o tym.

— Tak, rzuciłaś się na mnie, całymi swoimi pięćdziesięcioma trzema kilogramami. Ale myślę, że jestem na tyle duży i silny, że mógłbym ci się oprzeć, gdybym chciał. Nie chciałem, Marisso. Nie chciałem.

„O Boże” — pomyślała. Będąc tak blisko niego, mogła stracić rozeznanie pomiędzy dobrem a złem. Jej wzrok ciągle powracał na usta Brady'ego i poczuła, że zalewają ją fale ciepła. Powinna zmusić go, żeby wyszedł. Zwilżyła dolną wargę językiem.

— Brady, przykro mi, ale...

— Przestań, to ja powinienem cię przeprosić za to, że cię wykorzystałem. Ale nie możemy się przeprosić za to, jak na siebie działamy, grzechem byłoby nawet próbować.

Oderwała się od niego i powiedziała podniesionym głosem:

— To było czysto fizyczne. Nic więcej. Nie było też w tym nic dziwnego. Byłam słaba. Miałam wypadek. Sam powiedziałeś, że byłam zdenerwowana.

— Przez pierwszych parę dni. Potem wydawało mi się, że dobrze wiesz, co robisz.

— Do cholery, Brady, przecież nawet nie pamiętałam, jak się nazywam.

Zaczął jej się przyglądać zmrużonymi oczami. Policzki miała mocno zarumienione i oddychała nierówno. Postanowił wykorzystać okazję.

— Więc chcesz mi powiedzieć, że teraz, kiedy odzyskałaś pamięć, już cię nie pociagam, tak?

— Tak. Dokładnie tak.

— Nie wierzę ci.

Zrobił kilka kroków do przodu, chwycił Marissę w ramiona i całował ją tak, jakby nigdy nie miał zamiaru przestać.

Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakim byłoby odpowiedzenie na jego pocałunki. Ale sposób, w jaki ją całował, wstrząsnął całym jej ciałem i stała się bezradna w obliczu obustronnego pożądania.

Objęła go mocno za szyję, a on pogłębił pocałunek. Jednocześnie wsunął jedną rękę w jej włosy, wyjął spinki podtrzymujące eleganckie uczesanie i czarne długie pasma rozsypały się na ramiona. Drugą ręką chwycił ją za pośladki i uniósł lekko tak, aby poczuła jego pożądanie. Oblała ją fala gorąca i słabości. Przyłgnęła do niego, nie dbając zupełnie o to, dokąd ją zabiera.

Ciało Marissy tak dobrze go pamiętało. Jej podświadomość nigdy go nie zapomniała. Kiedy ją odsunął, przez moment poczuła się odtrącona i walczyła o równowagę w swoich butach na wysokich obcasach. Ochrypli śmiech Brady'ego poraził jej nerwy, stopniowo, boleśnie powracała jej zdolność logicznego rozumowania.

— Teraz już wiemy, że ciągle mnie pragniesz. Pytanie tylko, co chcesz z tym zrobić?

Potarła palcem czoło.

— Nic. Nie mam zamiaru nic robić.

Przez zielony kaszmir masował kciukiem ramię Marissy.

— Będę cię tak długo całował, aż dasz mi właściwą odpowiedź, Marisso.

— Właściwą w twoim mniemaniu. — Odsunęła się od niego, głównie po to, żeby sobie samej dowieść, że potrafi to zrobić. — Powiedz, czego właściwie tak naprawdę chcesz ode mnie?

Oparł biodra o oparcie kanapy i założył ręce na piersi. Wydawał się całkowicie odprężony, ale w tym, jak na nią patrzył, nie było niedbałości.

— W dwóch słowach: chcę, żebyś mi dała czas. Nie wiem, czy to, co jest między nami, może rozkwitnąć poza wyizolowaną atmosferą zeszłego tygodnia. Ale wydaje mi się, że powinniśmy dać sobie szansę. A to, Marisso, oznacza wspólne spędzenie jakiegoś czasu.

Pokręciła głową.

— Nie. Jeśli między nami coś jest... Przerwał jej krótkim, drwiącym śmiechem.

— Jeśli? Mam cię jeszcze raz pocałować? Podniosła rękę.

— W porządku, coś jest między nami, ale to tylko pociąg fizyczny, Brady. Jeśli pozostawimy to w spokoju, umrze śmiercią naturalną.

— A jeśli nie zostawimy tak tego?

— Wtedy nasze pożądanie pójdzie swoją drogą, a w końcu i tak skończymy, jak zaczęliśmy, ty na swojej górze, ja tutaj. Po prostu nie warto.

— Nie warto? Większość ludzi oddałaby lata życia, żeby mieć choć odrobinę z tego, co przeżyliśmy tamtego wieczoru i tamtej nocy.

Zaczerwieniła się.

— Już cię przeprosiłam...

— Czego, do cholery, tak się boisz? — Podeszedł do niej szybko.

Wbiła paznokcie w dłonie, aż do krwi.

— Niczego się nie boję.

— Nie wierzę ci ani trochę. Z pozoru twoje życie wydaje się wspaniałe, ale tak naprawdę musi kryć coś bardzo niedobrego.

— Nie wiesz, o czym mówisz.

— Ile razy powtarzałaś mi, że nie chcesz sobie przypomnieć? Ile razy mówiłaś, że chcesz zostać ze mną? Kochanie, ty uciekałaś, jak tylko mogłaś, przed czymś, co tkwi w tobie. Uczepiłaś się mnie, jakbym tylko ja mógł cię ocalić. Chcę wiedzieć, dlaczego.

— Dlaczego to robisz? — krzyknęła. — Dlaczego nie zostawisz wszystkiego tak, jak jest?

— Bo nie mogę zapomnieć, że kiedy otworzyłaś oczy i zobaczyłaś mnie, powiedziałaś: „Dzięki Bogu, znalazłam cię”.

Wpatrywała się w niego czując, jakby balansowała na ostrzu noża.

— Hej? Marisso? — zawołała CeCe. Jej głos dotarł do nich, zanim weszła do pokoju. — Lillian powiedziała, że tu jesteś. Właśnie zrobiłam zakupy i chciałam ci pokazać sukienkę, którą kupiłam. — Wpadła do pokoju, beztroška jak wiatr i nieświadoma sytuacji. Kiedy zobaczyła Brady'ego, wytrzeszczyła oczy. — Och, dzień dobry.

Uśmiechnął się, na jego twarzy nie było nawet śladu uprzedniego napięcia.

— Dzień dobry.

— Marisso, nie wiedziałam, że masz gościa. Marissa powoli rozluźniła dłonie.

— Nic się nie stało. W niczym nie przeszkodziłaś. — Spodziewała się, że po tej uwadze Brady spiorunuje ją wzrokiem, ale on ciągle uśmiechał się do

CeCe. Westchnęła. — CeCe, to jest Brady McCulloch. Brady, to jest CeCe Kavanaugh.

CeCe upuściła na podłogę torbę od Neimana Mariusa.

— Ten Brady McCulloch?

Brady schylił się, podniósł torbę i położył ją na kanapie.

— Nie wiem. Ilu ich jest?

— To pan. Pan jest tym, który uratował Marissę, prawda?

Brady spojrział na Marissę, a potem znów na CeCe.

— Można się o to spierać.

— Och, ależ to zaszczyt. Marisso, dlaczego nie powiedziałaś mi, że on jest w mieście?

— Sama dowiedziałam się o tym dopiero przed chwilą. CeCe spojrzała w końcu na Marissę.

— Wiesz, że jesteś rozczochrana?

— Ach!

Szybko dotknęła głowy, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak musi wyglądać. Spojrzała kilka spinek na podłodze i schyliła się, żeby je podnieść.

— Tu się pan zatrzymał? — CeCe zwróciła się do Brady'ego.

Marissa zapomniała o włosach i wstrzymała oddech w oczekiwaniu, co Brady odpowie.

— Mam apartament w Mansion — odparł, wymieniając nazwę ekskluzywnego hotelu w Dallas, słynącego z luksusu i bardzo indywidualnego traktowania gości.

CeCe uderzyła się dłonią w czoło.

— Oczywiście, powinnam była się domyślić, że tam właśnie pan się zatrzyma. To takie ekscytujące. Jak długo pozostanie pan w mieście?

Spojrzał Marissie w oczy.

— Jeszcze nie wiem.

— Musimy wydać przyjęcie na pana cześć, prawda, Marisso?

Marissa przycisnęła palec do czoła między oczami. Zaczynała ją boleć głowa i zastanawiała się, dlaczego przez tyle lat nie zauważyła, jaką gadułą jest jej przyjaciółka.

— Nie bardzo lubię przyjęcia — powiedział B rady, obserwując Marissę.

Piękną twarz CeCe pokryło rozczarowanie.

— Ale musi pan przyjść na jutrzejszą fetę.

— Myślę, że nie...

— Nie. Musi pan. To aukcja z obiadem. Pieniądze przeznaczone są na stypendia artystyczne dla utalentowanych lub niepełnosprawnych

studentów. Poza tym Marissa potrzebuje osoby towarzyszącej. Marissa ożyła.

— CeCe, Brady powiedział, że nie lubi przyjęć i musimy to uszanować.

— Ale...

— Poza tym, obawiam się, że zatrzymujemy Brady'ego. Właśnie wychodził, kiedy przyszedł.

— Och, przepraszam. — CeCe była zbita z tropu. Ujął jej dłoń i uśmiechnął się czarująco.

— Proszę się tym nie martwić. Ale Marissa ma rację, muszę już iść.

Marissa zamrużyła powiekami, zdziwiona, że zgodził się z nią. W następnym momencie jednak przeraziła się widząc, że Brady puścił rękę CeCe i sięgnął po jej dłoń.

— Więc widzimy się dziś o ósmej, tak?

— O ósmej?

— Dokąd idziecie? — zapytała CeCe z zainteresowaniem, odzyskując swój radosny sposób bycia.

— Na obiad — odparł Brady.

— Chyba nie... — zaczęła Marissa.

Przerwał jej, całując delikatnie, ale z naciskiem w usta.

— O ósmej — powtórzył.

— Brady...

— Nie kłopotz się z odprowadzeniem mnie. CeCe, cieszę się, że panią poznałem. Jestem pewien, że jeszcze się spotkamy. Do widzenia.

Marissa patrzyła, jak wychodził z pokoju. Kręciło jej się w głowie.

CeCe nie miała takiego problemu. Gwizdnęła.

— Nie powiedziałaś mi, że to taki kawał chłopa. Właściwie, zdaje mi się, że o wielu rzeczach mi nie powie działaś.

Marissa była wstrząśnięta, jednocześnie zdawała sobie sprawę, że musi nad sobą zapanować.

— Ponieważ nie było i nie ma nic do powiedzenia.

— Pocałował cię, Marisso. Zabiera cię wieczorem na kolację. Do miasta przyjechał oczywiście po to, żeby się z tobą zobaczyć. Co jeszcze mam powiedzieć?

— Nic, dobrze? Nie jest tak, jak myślisz i chcę, żebyś mi obiecała, że nie wspomnisz nikomu ani słówkiem, że spotkałaś go tu, ani, że jest w mieście.

— Ale dlaczego?

— Jest prywatną osobą i na pewno nie spodobałoby mu się, gdybyś o nim rozpowiadała.

Na twarzy CeCe wyraźnie widać było walkę wewnętrzną, którą toczyła. Spotkała wielkiego artystę, którego nikt od lat nie widział i nie wolno jej było o tym opowiadać.

— Marisso...

— CeCe!

— Och, dobrze — zgodziła się w końcu. — Ale, jak myślisz, uda ci się przyprowadzić go jutro wieczorem?

— Do tego czasu na pewno już wyjedzie z miasta — oświadczyła Marissa stanowczo. — Nie zdziwię się nawet, jeśli odwoła dzisiejszą kolację. Wiesz, jak zmienni są artyści.

CeCe wyglądała na zdezorientowaną. Marissa była wystraszona. Brady przypomniał jej, jaki potrafi być skuteczny. Nie, żeby kiedykolwiek o tym zapomniała. Pragnęła go szaleńczo, kiedy miała amnezję. Teraz, kiedy pamięć jej wróciła, pragnęła go równie mocno.

Liczyła na to, że czas i odległość oddzielią go od niej, a on chciał te przeszkody usunąć. Jeśli przyszedłby po nią wieczorem, nie była pewna, czy potrafiłaby mu się oprzeć. Mogła zrobić tylko jedną rzecz. Jak tylko pozbędzie się CeCe, zadzwoni do hotelu Mansion i powie Brady'emu, że ma inne plany na ten wieczór. A potem postara się, żeby naprawdę tak było.

Marissa przyłożyła dłoń do policzka. Zastanawiała się, dlaczego jest tak rozpalona. Wstała i otworzyła drzwi prowadzące z sypialni na taras. Taras połączony z sypialnią uważała za dużą zaletę i dlatego mieszkała na pierwszym piętrze, drugie pozostawiając puste.

Idąc do łazienki, spojrzała na zegar. Siódma piętnaście. „Świetnie” — pomyślała. Była prawie gotowa, żeby iść sama do kina.

Wilgotną dłonią wygładziła księżycowobiałą, jedwabną halkę z koronkami, której góra tworzyła stanik. Potem wsunęła nogi w granatowe, zamszowe buty na obcasie i spojrzała na przygotowane na łóżku ubranie. Fioletowa jedwabna bluzka miała dekolt w pik i jeden guzik. Fioletowo-granatowa spódnica była pełna wdzięku, a zamszowy pasek idealnie pasował do butów. Strój zbyt elegancki jak do kina, ale stylowy ubiór będzie jej pancierzem na samotne spędzenie wieczoru.

Szybko ubrała się i usiadła przed lustrem. Zebrała swoje długie włosy w ogon, który miała zamiar spleść z tyłu głowy.

— Nie, zostaw tak — powiedział Brady. — Bardziej podoba mi się nie upięty.

Oslupiała, opuściła ręce i odwróciła się.

— Co tu robisz?

— Lillian zostawiła mnie w salonie, ale nie chciałem tam czekać. Jestem pewien, że zrozumie. Przyzwyczajają się już do mnie.

— Myślałam, że wyszła na wieczór.

— Rozumiem twój problem. Ten dom jest tak duży, że nie wiesz, kto w nim jest, a kogo nie ma.

Utkwiła w nim podejrzliwy wzrok.

— Nie dostałeś ode mnie wiadomości?

— Niejakiej wiadomości? Ach, przy okazji, przepraszam, że przyszedłem tak wcześnie. Wyglądasz słodko, ale najbardziej podobasz mi się ubrana w jedną z moich flanelowych koszul.

Nie mogła oderwać od niego oczu. W dzinsach, koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i drelichowej kurtce wyglądał przytłaczająco męsko. Jego obecność w jej sypialni spowodowała, że poczuła niebezpieczne podniecenie. Potem z przerażeniem spostrzegła, że trzyma w dłoni rzeźbę, którą kupiła w Galerii Whitmere'a.

— Lillian powiedziała, że dostarczono to przed chwilą. Jeśli chciałaś mieć jakąś moją rzeźbę, wystarczyło poprosić, Marisso.

Niespodziewana intymność w jego głosie poraziła jej umysł, słowa utknęły jej w gardle.

— Lillian ustawiła ją w salonie. Ale jakoś nie wyglądała tam dobrze. Pomyślałem, że spróbuję umieścić ją tutaj.

— Rozejrzał się po biało-lawendowym pokoju. — Nie wiem...

Wstała przed lustro czując, że lepiej poradzi sobie z nim stojąc.

— Przykro mi, że nie podoba ci się mój dom, ale mnie zawsze mieszkało się tu wygodnie.

Uniósł czarne brwi, jakby zdziwiły go jej słowa.

— A nie chciałaś wyjeżdżać z mojego domu.

— Naprawdę?

Pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

— Ostatecznie, tak.

Szybko dotknęła ręką czoła i opuściła ją znowu.

— Postaw rzeźbę po prostu tam, na stole. Potem zdecyduję, gdzie ją umieszczę.

Zrobił, jak prosiła, patrząc w zamyśleniu na rzeźbę.

Potem spojrzał na nią.

— Kupiłaś ją w Galerii Whitmere'a? Skinęła głową.

— Musiałaś nieźle za nią zapłacić. Skrzyżowała ręce na piersiach.

— Powiedziano mi, że rzeźba McCullocha to lepsze niż pieniądze w banku. Zignorował ten komentarz.



— Dlaczego właśnie tę, Marisso? Dlaczego Rzeźbiarz? — Po prostu... po prostu ta rzeźba przemówiła do mnie.

— Myślałem raczej, że do kobiety powinna raczej przemówić Marto ze śpiącym dzieckiem.

Niechętnie patrzyła na rzeźbę i powoli podeszła do niej. Podniosła rękę i pogłaskała delikatnie palcami głowę schyłego człowieka,omalże wyczuwając szorstkość jego włosów.

— Kiedy go zobaczyłam, pomyślałam, jak rosteś w Ozarks, obserwując rzeźbiących mężczyzn, takich jak ten. Pomyślałam, że musieli mieć wpływ na ciebie i że ty będziesz miał wpływ na przyszłe pokolenia.

Ujął brodę Marissy i odwrócił jej twarz do siebie.

— Może jednak nie zmieniłaś się — powiedział ochryple.

Przez moment zagubiła się w jego oczach, które promieniowały teraz jakimś niezwykłym ciepłem. Potem opamiętała się i odsunęła od niego.

— Chodźmy na kolację — zdecydował. — Mamy wiele spraw do omówienia.

RS

## ROZDZIAŁ 8

— Możesz tu sobie zamówić, co zechcesz, od połówicy wołowej po naleśniki i wszystko pośrodku — oznajmił Brady, siadając koło Marissy i delikatnie, ale stanowczo popychając ją w róg kabiny w restauracji, do której ją przyprowadził. — Polecono mi to miejsce w hotelu, kiedy spytałem, gdzie można znaleźć trochę odosobnienia i dobrze zjeść. Byłaś tu kiedyś?

— Nie — odparła Marissa, rozglądając się po przyjemnym, słabo oświetlonym pomieszczeniu. Następnie sięgnęła po menu, miała zamiar zamówić i zjeść szybko. Jednak był taki wybór, że zamówienie zajęło jej znacznie więcej czasu niż przypuszczała. Kiedy w końcu wybrała danie z kurczaka, spostrzegła, że Brady uważnie jej się przygląda.

— Co wybrałaś dla siebie? — zapytała, aby ukryć zakłopotanie.

— Pieczeń z jagnięcia. Powiedz, potrafisz robić naleśniki?

Przez moment czuła pustkę w głowie, potem uśmiechnęła się niechętnie.

— Obawiam się, że nie.

— Lillian ci gotuje? Skinęła głową.

— A przed nią robiło to kilka innych kobiet i mężczyzn. Mój ojciec natrafił w młodości na złoża ropy naftowej. Wraz z ropą płynęły pieniądze i wszystko inne. Był naftowym baronem. Matka przyzwyczała się szybko do wygod, w jakich mogła teraz żyć, zupełnie, jakby się w tym bogactwie już urodziła. Ja się w nim urodziłam. Poza tym, byłam jedynaczką.

— Wyobrażam sobie. To wszystko musiało cię zepsuć.

Uśmiech zniknął z twarzy Marissy.

— Byłam zepsuta, ale w miły, przyjemny sposób. Dotknął jej reki.

— Nie musisz się bronić. Wcale cię nie krytykowałem.

— Wcale się nie bronię.

— Przepraszam. Pomyliłem się. Czy twoi rodzice żyją?

— Nie. Nigdy nie byli sobie naprawdę bliscy. Kiedy byłam nastolatką, rozwiedli się. Dlatego właśnie wydawało mi się smutne i pełne ironii to, że oboje zmarli w tygodniowym odstępie czasu.

— Kiedy to było?

— Dziesięć lat temu. Miałam wtedy dziewiętnaście lat, Gwizdnął cicho.

— To musiało być dla ciebie okropne.

„Było okropne” — pomyślała. Ale miała wtedy Kennetha i on pomógł jej to przeżyć. A potem pomógł jej wydać sporą część jej pieniędzy. Na szczęście właśnie podszedł kelner i mogła skoncentrować się na zamówieniu.

— Byłaś po powrocie u lekarza? — zapytał Brady, kiedy kelner odszedł. Marissa przybrała znużony wyraz twarzy.

— Nie widziałam w tym, co prawda, sensu, ale byłam.

— I?

— Zrobił mi testy. Wynika z nich, że jestem zdrowa i normalna.

— To dobrze. — Odwrócił wzrok, po czym znów spojrzął na nią, jakby czegoś niepewny. — Jest jeszcze coś, o co chcę cię zapytać.

Jeszcze nigdy nie widziała Brady'ego wahającego się. Jego zachowanie wzbudziło jej ciekawość.

— O co?

— O mężczyzn w twoim życiu... Westchnęła ciężko.

— Powiedziałaś ci...

— Powiedziałas, że do nikogo nie wracasz. W porządku. Ale chyba był ktoś w przeszłości. Jakieś poważne uczucie albo poważne małżeństwo?

Zesztywniała.

— Jaką robiłoby to różnicę?

— Był ktoś, prawda? — powiedział, obserwując ją bacznie. — Co się stało?

Wyciągnęła ręce przed siebie i starała się zachować spokój.

— Nic takiego. Faktycznie, byłam mężatką. Poznałam go na pierwszym semestrze w college'u. Rodzicom bardzo się podobał. Kiedy umarli, był dla mnie wielką pociechą. W kilka miesięcy później pobraliśmy się.

— Jak długo trwało wasze małżeństwo?

— Trzy lata. Potem dorosłam, dojrzałam i odkryłam, że nie potrzebuję już niczyjego wsparcia.

Skinął głową, dziękując kelnerowi, który postawił przed nim szkocką i białe wino przed Marissą.

— Brzmi rzeczywiście banalnie.

— Tak było.

— Nie wierzę.

Podnosząc właśnie kieliszek, drgnęła i wylała trochę wina na drugą rękę. Ostrożnie odstawiła kieliszek.

— Brady, przyszedłam dziś na kolację z tobą, ponieważ jesteś obcy w tym mieście i zasłużyłeś na to, aby odplacić ci gościnnością, jaką ty mi ofiarowałeś, ale...

— Nie, Marisso. Nie dlatego tu przyszedłam ze mną. — Podniósł jej dłoń i dotknął językiem mokrej od wina skóry.

Poczuła ciepło wzdłuż kręgosłupa.

— Nie przyszedł tu po to, żeby spłacić dług. O ile pamiętam, pozwoliłem ci spać we własnym łóżku.

— Brady...

— Ale nie rozmawiamy o tym, prawda? — rzekł łagodnie, ciągle trzymając ją za rękę. — Widzisz, Marisso, prawda jest taka, że jestem tobą całkowicie zafascynowany. W Ozarks byłeś tak zdumiewająco słodka, całkowicie kobieca i oddana, że przyprowadziłeś mnie o szaleństwo, tak że w końcu odrzuciłem wszystkie przekonania i zasady.

Zwilżyła językiem dolną wargę.

— Myślę, że nie powinniśmy o tym rozmawiać.

— Wiesz, jak ciężko jest mężczyźnie zapomnieć o takiej kobiecie jak ty, Marisso. Postanowiłem pojechać za tobą i kogo znalazłem? Spiętą, prawie lodowatą kobietę, żyjącą sterylnym życiem, samotnie w wielkim domu, urządzonego z minimalną ilością kolorów i przedmiotów, które tak bardzo podobały ci się u mnie w domu. Twój dom jest zupełnie bezosobowy. Właściwie, gdyby nie te twoje oczy, to chyba nawet nie rozpoznałbym cię, kochanie.

Sposób, w jaki wymówił przeciągłe słowo „kochanie”, nie był ani tkliwy, ani sarkastyczny. Wyrwała rękę z jego dłoni.

— To nie fair. Za mało o mnie wiesz, żeby mnie osądzać.

— Więc powiedz mi, co sprawia, że taka jesteś?

— Nie.

Świeczka na środku stołu migotała, rzucając blade złote światło na pobladałą twarz Marissy. Brady oparł się w wygodnym krześle w kabinie i sęczył szkocką.

— Nadal jestem zafascynowany.

Słyszała, jak waliło jej serce i zastanawiała się, kiedy się uspokoi.

— Dziwię ci się, Brady. Jesteś bardzo inteligentnym człowiekiem, a nie zauważasz czegoś, co jest bardzo proste. Nie ma żadnej tajemnicy. Miałam amnezję, a teraz już nie mam. Jestem znowu dawną osobą.

— Naprawdę? W takim razie ośmielam się przypuszczać, że takiej, jaką ja cię widziałem na mojej górze, nikt od lat już nie oglądał. Jestem szczęściarzem.

Marissa sięgnęła po kieliszek.

— Widziałem cię bez pancerza. Ale życie pod czyjąś postacią musiało cię bardzo zranić. Spędziłaś lata schowana za barwami ochronnymi wyrafinowanej i nietykalnej damy z towarzystwa. I kiedy odzyskałaś pamięć, automatycznie powróciłaś do tego udawania.

W tym momencie kelner podjechał z jedzeniem i Marissa odetchnęła z ulgą. Patrzyła tępo w postawiony przed nią talerz, starając się przypomnieć sobie, co zamówiła.

— Coś nie tak? Kurczak nie wygląda apetycznie? Kurczak!

— Ależ skąd! Na pewno jest wspaniały. — Wzięła nóż i widelec i zaczęła kroić. Pierwszy kęs stanął jej w gardle. Sięgnęła po szklanekę z wodą i wypiła ją do połowy. Brady odsunął talerz.

— Śmieszne. Odkąd wyjechałaś z Arkansas, zupełnie straciłem zainteresowanie jedzeniem. A ty?

— Mam dobry apetyt.

— Cieszy mnie to. — Nachylił się i spojrzał jej w twarz, potem podniósł rękę i przesunął wzdłuż wyciętego w pik dekoltu Marissy. — Chcę, żebyś była zdrowa i szczęśliwa. Tego chcę też dla siebie. Chcę zobaczyć, czy możemy być razem szczęśliwi.

— Nie możemy, Brady. — Zdziwiła się, że głos jej się załamał, odchrząknęła. — To nie jest twoja wina, moja też nie. Tak po prostu jest.

— Chcesz, żebym zostawił cię w spokoju?

— Tak.

Przycisnął palec do jej ust.

— Nie, dopóki nie zrozumieć, skąd wzięła się ta skorupa.

Gniewem starała się złagodzić požądanie, jakie nagle ją zawładnęło.

— Przestań. Mam dwadzieścia dziewięć lat Mogę mieć jakieś wady.

— Nie zauważyłem ich, kiedy naga leżałaś w moich ramionach.

Aby uwolnić się od gorąca, o jakie przyprawiło ją wspomnienie tamtych chwil, zaatakowała Brady'ego.

— A ty co, Brady McCulloch? Ty mówisz o skorupach, podczas gdy wokół siebie wzniosłeś istny mur.

— Masz rację — zgodził się miękko. — Ale ty się przez niego przebiłaś.

Pograżał ją, zdobyła się tylko na potrząśnięcie głową.

— Kiedy pojawiłaś się w moim życiu, Marisso, byłaś zupełnie bezbronna. Przekonałem się, że aby pomóc komuś bezbronnemu, trzeba otworzyć tę część siebie, która jest najwrażliwsza. A jeśli już się ją odkryło, cholernie trudno jest zamknąć się na powrót. Dlatego tu jestem. Myślę, że albo pozostanę otwarty, albo zamknę się na dobre. Wszystko zależy od ciebie.

Dlaczego miała wilgotne oczy?

— Nie wierzę, że jest w tobie coś wrażliwego.

— Co mogłoby cię przekonać? Patrzyła na niego zamyślona.

— Zawsze, kiedy ktoś wymienia twoje nazwisko, mówi o tym, jak piętnaście lat temu zniknąłeś w Ozarks. Co takiego się wydarzyło, że wycofałeś się z życia, które prowadziłeś? Powiesz mi?

Uśmiechnął się łagodnie.

— Z ochotą, Marisso. Wystarczyło zapytać.

Serce jej zadrżało. Co robiła? Nie potrzebowała ani nie chciała między nimi większej intymności, która na pewno ich połączy, jeśli podzieli się z nią sekretem. Powinna powiedzieć, żeby o rym zapomniał, że wcale jej to nie obchodzi. Ale obchodziło.

— Zdobyłem sławę w bardzo młodym wieku. Kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat, opuściłem dom i zamieszkałem w Nowym Jorku. Nigdy wcześniej nie widziałem nic tak ogromnego i pełnego energii, jak to miasto. I wznoszono w nim toasty na moją cześć. Byłem zapraszany na wspaniałe przyjęcia. Dziennikarze walczyli o wywiady ze mną. Krytycy nazywali geniuszem. Piękne kobiety uważały, że jestem seksowny i pchały mi się do łóżka. Ludzie kupowali moje rzeźby. Każdy czegoś ode mnie chciał. Stawałem się bogaty i sławny. Dla młodego człowieka z Ozarks było tego za dużo.

Zacząłem czuć, że się duszę i nie wiedziałem, dlaczego. Próbowałem spędzać więcej czasu w pracowni, ale jak można pracować, śpiąc po cztery godziny na dobę i mając nieustannego kaca? Więc ciągle odkładałem pracę na następny dzień i znowu wychodziłem, żeby się zabawić.

— Z kolejną piękną kobietą? — zapytała, zaniepokojona ukłuciem zazdrości, które poczuła.

— Mogłem je mieć. Byłem młody.

— Oczywiście — odparła, starając się nadać głosowi chłodne brzmienie.

— Pewnego dnia obudziłem się i spojrzałem na to, nad czym właśnie pracowałem. To było dno. Wtedy zdałem sobie sprawę, że stałem się sławną postacią zamiast rzeźbiarzem. Ludzie oglądali mnie, a nie moje prace. Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata, ale wiedziałem, że jeśli tak dalej pójdzie, będę trwonił siebie, zmarnuję talent, jakim mnie Bóg obdarzył. Więc spakowałem się i pojechałem do domu.

— Na swoją górę?

— Na swoją górę — zgodził się. — Od tego czasu nie udzieliłem żadnego wywiadu ani nie byłem na żadnym przyjęciu. Ale zrobiłem dużo dobrej roboty.

— Dobra robota nie oddaje tego, czym są twoje rzeźby, Brady.

— Dziękuję — szepnął miękko. — Chcę, żebyś wiedziała jeszcze o jednym. Nigdy nie byłem samotny na mojej górze, dopóki nie wyjechałaś. Po prostu musiałem po ciebie przyjechać.

Czas się zatrzymał, świeca topiła się, dając ciepło i stwarzając więź. Marissa z trudem próbowała uciec z tej złotej pułapki, ale wszystkie siły opuściły ją.

— Obiad państwu nie smakował? — spytał kelner, patrząc pytająco na pełne talerze i burząc tym samym nastrój.

— Nie wiemy — powiedział Brady, sięgając do kieszeni po portfel. — Nie jedliśmy.

— Z przyjemnością przyniosę państwu coś innego — zaproponował kelner.

Brady odliczył pieniądze, aby zapłacić rachunek wraz z hojnym napiwkem i wręczył je młodemu człowiekowi.

— Dziękujemy. Innym razem.

Trochę oszołomiony kelner wziął pieniądze i odszedł. Brady wysunął się z kabiny i pomógł Marissie. Kiedy stała już koło niego, powiedział:

— Czy teraz wierzysz, że mogę być wrażliwy?

— Wierzę, że pomiędzy dwudziestym pierwszym a dwudziestym czwartym rokiem życia byłeś wrażliwy.

— Jesteś twarda, Marisso Berryman. Możesz mnie przekonać, że nie było to mądre przyjechać tu za tobą.

— Dobrze, bo źle zrobiłeś i chciałabym, żebyś to zrozumiał.

Szybko pocałował ją w usta.

— Jestem pewien, że masz jak najlepsze intencje.

W drodze powrotnej do domu Marissa milczała. Nie miała mu nic do powiedzenia. Chciał spędzić z nią trochę czasu, żeby zobaczyć, czy to, co rozwinęło się między nimi na jego górze, rozkwitnie bardziej, czy też umrze.

Nie mogła podjąć tego ryzyka. Nie miała do siebie zaufania, jeśli chodziło o Brady'ego. Jej uczucia w stosunku do niego były zbyt burzliwe, jej reakcje zbyt gwałtowne. Mógł patrzeć na jej życie z pogardą, ale przynajmniej było ono bezpieczne.

Wszystko w niej nakazywało odwrócić się do niego i otworzyć przed nim. A potem paść mu w ramiona i poprosić, żeby się z nią kochał, tak jak tej ostatniej nocy na górze. Pragnęła tego aż do bólu.

Ale zakochała się w Bradym, zanim przypomniała sobie, że nie może go kochać.

A teraz musiała robić wszystko, żeby zniszczyć tę miłość. Pozwolić sobie na zaufanie i troszczyć się o kogoś takiego jak Brady byłoby aktem samozagłady. Nie była po prostu na tyle odważna.

Zatoczył koło i wyłączył silnik. Zanim zdążył cokolwiek zrobić czy powiedzieć, otworzyła drzwi, wyskoczyła i zatrzasnęła je za sobą. Schyliła się do okna, aby grzecznie powiedzieć „dobranoc”, ale poczuła jego dłonie na plecach.

— Szukasz mnie?—zapytał miękko, odwracając ją do siebie.

— Tylko, żeby ci powiedzieć dobranoc. — Wysunęła się z jego objęć i udało jej się wejść na werandę, kiedy znowu mocno chwycił ją za rękę.

— Dlaczego mam wrażenie, że nie zamierzasz mnie zaprosić do środka?

Spojrzała na niego. Był wspaniałym artystą, którego rzeźby wzruszały subtelnym pięknem. Było też w nim tyle męskości, że błagała go przecież, żeby się z nią kochał. A kiedy to zrobił, było to zdumiewające i niezapomniane.

Czasami wydawało jej się, że walka z Bradym była beznadziejna. Ale musiała walczyć. Musiała wyzwolić się z tego oczarowania.

— Zaproszenie cię nie miałyby sensu.

W oczach Brady'ego pojawił się błysk zdecydowania. Włożył rękę między włosy Marissy, aby ująć ją za szyję.

— Może z twojego punktu widzenia. Ale jeśli chodzi o mnie, to bardzo ucieszyłbym się z zaproszenia.

— Nie, Brady — wyszeptwała. — Nie.

— Pamiętasz, kiedy prosiłaś mnie, żebym powiedział „tak”? — Zrobił krok do przodu, zmuszając ją, aby się cofnęła. Oparła się o granitową kolumnę, podtrzymującą werandę. — Pamiętasz, jak kochaliśmy się na stojąco pod prysznicem? — zapytał, przyciskając się do niej całym ciałem. — W życiu nikogo tak nie pragnąłem. Nigdy nie będę mieć ciebie dosyć.

— Brady...

— Cii... Tylko sobie przypomnij... przypomnij sobie, jak się czuje, kiedy jest się razem. — Pocałował ją w kącik ust, a potem przejechał językiem wzdłuż warg Marissy.

Poczuła przyciśnięte do siebie biodra Brady'ego, czuła jego wzwód. Przeszył ją ogień, a krew zaczęła wrzeć.

— Brady, proszę cię, nie!

Ręka Brady'ego ześliznęła się wzdłuż boku Marissy, wyczuwał wspaniale ukształtowane biodra, a potem udo, potem powoli podniósł do góry spódnicę i wsunął dłoń pomiędzy jej nogi.

Marissa odchyliła głowę, oparta o kolumnę — z trudem łapała oddech.



Pieszcząc miękką, nagą skórę ponad linią pończoch, całował Marissę w szyję.

— Powiedz „tak”, Marisso. Tak jak tam na górze. Byłem bez ciebie przez cały tydzień i tak bardzo cię potrzebuję.

Bała się, że za moment podda się całkowicie zmysłom. Odrzuciła głowę, ale to, przed czym chciała uciec, było w niej. Usta Brady'ego trzymały ją jakby w areście. A jego ręka... poczuła, że wsunął ją pod koronkowy brzeg majtek. Ku przerażeniu Marissy, jej biodra same się uniosły na spotkanie jego palców.

Chciała go odepchnąć, ale była tak osłabiona, że nie dała rady. Tak dobrze było, kiedy ją dotykał, całował.

— Nie!

— Przeszedłem przez piekło, odkąd wyjechałaś — szepnął ochrypłym głosem, całując i kęsając usta Marissy. — Obudziłaś we mnie ogień, a potem wyjechałaś. Ten ogień nie przestał płonąć od tamtego czasu i nie przestanie. Pomóż mi, Marisso. Pomóż mi.

Łamiącym się głosem wykrzyknęła:

— To tylko pociąg fizyczny. Nic więcej. Otworzyła usta i szerzej rozsunęła nogi.

— Między nami mogłoby być inaczej.

Palce Brady'ego pobudzały wrażliwe nerwy do pełnego życia. Ręce, które go odpychały, teraz kurczowo uchwyciły się jego kurtki.

— Nie.

— Mam zamiar teraz się z tobą kochać — wymruczał, a jego głos podobny był do jęku. — Tutaj, zaraz. Muszę.

— Ale to nie będzie nic znaczyło.

— Będzie znaczyło wszystko. Nie mogę już dłużej, ty chyba też.

— Nie.

— Mógłbym być w tobie, zanim zdążysz złapać oddech, Marisso. Ale chcę usłyszeć twoje „tak”.

Czuł, jak była naprężona, czuł, jak podnosi kolano i opiera podeszwę buta o kolumnę. Rozumiejąc, o co chodzi, delikatnie masował malutki pączek, który tak słodko gnieździł się w zagłębieniu jej kobiecości.

— Kochałabyś się wtedy ze mną w błocie. Kochaliśmy się, stojąc pod prysznicem, potem na dywanie. Pamiętasz, jak bardzo pragnęłaś mnie wtedy? Ciągłe mnie pragniesz, nie zmieniłaś się tak do końca. Zrozumiałem to, kiedy patrzyłaś na moją rzeźbę. Jesteś teraz jakby pół taka, jaką nauczyłaś się być i pół taka, jaka byłaś ze mną. Wróć do mnie. Możemy kochać się tu, przy tej kolumnie. Wyobrażasz sobie, jak byłoby wspaniale?

Chwyciła go za ramiona, czując przyptyw rozkoszy. Fala opadła i zaczęła znowu się wznosić.

— Pozwól mi iść — wykrzyknęła, ale słowa te, wypowiedziane automatycznie, od razu straciły znaczenie.

Brady ciągle delikatnie poruszał palcami.

— Mogę ci to zrobić jeszcze raz i jeszcze raz... przez całą noc... ale to i tak nie będzie dość. Pragniesz mnie, Marisso. Musisz tylko się do tego przyznać.

Po policzkach spłynęły jej łzy.

— Nie... nie...

Zanim była na to naprawdę przygotowana, odsunął rękę i chwiejnie przeszedł parę kroków do tyłu. Oddychał spazmatycznie. Twarz miał wykrzywioną męką, którą czuła również w sobie. W pierwszej chwili pomyślała, że zaraz upadnie. Ale musiała odsunąć się od niego.

Odzyskała równowagę i przeszła obok niego. Ale kiedy, mijając go, bolącymi pierściami musnęła przypadkowo tors Brady'ego, zamknęła oczy i stanęła. Zostawił ją w momencie, gdy zbliżała się do następnego szczytowania, czuła się chora, była nabrzmiała.

— Marisso...

Wymówił jej imię w taki sposób, jakby mogła mu dać tycie.

Potrząsnęła głową. Nie. Nie.

Trzęsącą się ręką ledwo otworzyła drzwi. Włożenie klucza do zamka zabrało jej trzy razy tyle czasu, co zwykle. Wiedziała, że on stoi za nią i przyciąga do siebie z ogromną siłą.

W końcu weszła do domu i zamknęła drzwi, nie odważywszy się nawet spojrzeć na niego po raz ostatni. Skoncentrowała się na tym, aby nie upaść — przejść przez cały dom do sypialni.

Zapaliła światło i stanęła na środku pokoju. Mięśnie jej drżały, nerwy pulsowały niespełnionym pragnieniem. Czuła się rozdarta, zdawało się jej, że nie ma już dla niej ratunku. Powoli podniosła głowę i spojrzała w kierunku oszklonych drzwi.

Był tam, na tarasie. Wpatrywał się w nią. Nic więcej.

Po prostu patrzył. Ale intensywność jego namiętności dosięgła jej pomimo odległości i pokonała.

Nie miała wyboru. Wytrzymując jego wzrok, zaczęła się rozbierać.

Odpięła mosiężną sprzączkę paska i rzuciła go na podłogę. Brady nie poruszył się.

Odpięła spódnicę, która z szelestem opadła na dywan obok paska. Jego oczy nie drgnęły.

Odpięła guzik fioletowej bluzki i zsunęła ją z ramion. Drzwi na taras były zamknięte, była jesień, ale Marissa poczuła jakby podmuch silnego, gorącego wiatru. Jedwabną halkę koloru księżycy przerzuciła nad głową i odrzuciła na bok. Stała teraz ubrana tylko w majtki, koronkowy pasek, granatowe pończochy i zamszowe szpilki. Ogarnęło ją nagle, gwałtowne pragnienie.

Ruszyła w jego kierunku, ujęła klamkę i otworzyła drzwi.

— Tak — powiedziała.

Ciągle się nie ruszał.

Owiał ją chłód nocy. Zadrżała płonąć. Przyzywał ją do siebie. Szła do niego. Nie chciała go, nie mogła go kochać, ale musiała go mieć. Rozpięła mu koszulę i położyła dłonie płasko na jego piersi, czując między palcami ciemne włosy. Zadrzał, czuła, jakby coś ciężkiego coraz bardziej przygniatało jej piersi. Jeśli nie będzie się z nią zaraz kochać, to chyba umrze.

Stanąła na palcach i pocałowała go w kącik ust.

— Tak — powiedziała raz jeszcze. — Tak, Brady. Proszę.

Z szybkością, która przyprawiła ją o zawrót głowy, chwycił ją w ramiona i zaniósł do łóżka.

Za chwilę oboje byli już zupełnie nagi, a Brady układał się na niej. Jego mięśnie drżały w oczekiwaniu. Pulsujący ból gdzieś w środku narastał.

— Nigdy więcej nie mów mi „nie” ... przynajmniej dziś w nocy.

Powieki miała ciężkie z pożądania. Prawie go widziała

— Tak.

Wsunął się w nią ze wszystkich sił. Ruszał biodrami w prymitywnym rytmie. W Marissie wybuchła ekstaza

Księżyc podniósł się wyżej, wlewając srebrne światło przez drzwi sypialni i oświetlając łóżko. I przez całą noc nie powiedziała mu „nie”. Ani razu.

## ROZDZIAŁ 9

Marissa otworzyła oczy i spojrzała na zegar przy łóżku. Jedenasta trzydzieści. Pokój wypełniony był światłem, więc stwierdziła, zresztą bez większego zainteresowania, że musi być dzień.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech. Co za noc przeżyli z Bradym! Zadowanie wypełniało każdą kosteczkę. Ich namiętność płonęła przez całą noc. Nie chcieli spać, chcieli skupić się na przyjemnościach, które wydawały się nieskończone. Wreszcie, zupełnie wyczerpani, usnęli przytuleni do siebie.

Przeciągając się leniwie, Marissa znowu poczuła pożądanie.

— Brady?

Odwróciła się i zobaczyła, że łóżko było puste.

Oszołomiona, usiadła i rozejrzała się po pokoju. Nie było ani Brady'ego, ani jego ubrań. Słońce przez otwarte drzwi tarasowe zalewało pokój blaskiem, zmrużyła oczy przed światłem.

Rozczarowanie i wzmagające się napięcie przytłumiły żar zadowolenia, jaki wcześniej odczuwała. Odrzuciła włosy z twarzy i oparła się o poduszki. Śmiałyby się, gdyby nie to, że tak bardzo chciało jej się płakać.

Nie miała pojęcia, dlaczego Brady wymknął się z łóżka i wyszedł bez pożegnania. Właściwie nie miało to znaczenia. Tej nocy pochłonęła ją żądza, ale dzień odkrył jej błąd. Był to jej błąd. Nie mogła winić Brady'ego. Chciał ją zdobyć z całą zawziętością i wytrwałością, ale ona powinna być silniejsza. Ostatecznie to ona знаła cenę świadomości do utraty zmysłów. Cena ta zawsze przewyższała to na co było ją stać.

Zadzwoił telefon. Ze znużeniem, które nie wynikało przecież z braku snu, sięgnęła po słuchawkę.

— Halo?

— Zdaje się, że dopiero się obudziłaś.

Nigdy jeszcze nie rozmawiała z Bradym przez telefon, ale nie mogła nie rozpoznać jego mocnego głosu. Poczuła szybsze bicie serca. Od tej chwili, przysięgła sobie, będzie zupełnie opanowana.

— Cześć, Brady.

— Przepraszam, że mnie tam nie ma. Ale, jeśli może cię to pocieszyć, chcę ci powiedzieć, że wyjście z twojego łóżka i zostawienie cię nie było łatwe, wierz mi.

Staczała właśnie ze sobą walkę i przegrała. Zwyciężyła ciekawość.

— Dokąd poszedłeś?

— Miałem umówione spotkanie z moim agentem. Zjedliśmy razem śniadanie w hotelu „Mansion”.

— On tu mieszka?

— To kobieta. Mieszka w Nowym Jorku i jest zawziętym zwolennikiem dużych miast. Ponieważ ja rzadko opuszczam Arkansas, a ona nie cierpi przyjeżdżać „w dzicz”, jak nazywa moją górę, trudno być z nią w kontakcie. Mój przyjazd tu był dla niej okazją do spotkania się ze mną. W pełni zdaję sobie sprawę, że reprezentowanie moich interesów nie jest łatwą sprawą, więc zdecydowałem zjawić się na tym śniadaniu. — Zmienił ton. — Zrobiłem to niechętnie. Nawet śpiąc wzbudzasz pożądanie.

Pochyliła głowę i potarła palcem środek czoła.

— Brady, jeśli chodzi o zesłą noc...

— Och...

— Chce, żebyś wiedział, że winię tylko siebie...

— Winisz?

— To nie może się powtórzyć.

— Dziecko, nie można cię zostawić nawet na minutę. Wzięła głęboki oddech.

— Słuchaj, Brady. Dobrze, że zadzwoniłeś zamiast przychodzić. Spotkanie przyniosłoby nam obojgu tylko ból, nie prowadziłoby do niczego. Musimy zdać sobie z tego sprawę, zanim coś się wydarzy.

Po drugiej stronie zapadła cisza, słyszała tylko jakieś trzaski w słuchawce.

— Skończone, zanim naprawdę się zacznie, co? Cóż za wykwinność, Marisso. Cóż za oschłość i bezkrwistość.

Zamknęła oczy.

— Wiem, że nie rozumiesz i przykro mi, że nie mogę ci tego wyjaśnić. Ale uwierz mi na słowo, że to najlepsze wyjście. Wracaj na swoją górę, Brady. Twórz piękne rzeczy. I zapomnij o mnie. Czas wyleczy rany, zobaczysz. To proste.

— Lubię proste rzeczy — powiedział miękko, cedząc słowa — ale, kochanie, jeśli chodzi o nas, nic nie było proste, i jakoś nie widzę, żeby nagle miało się takie stać.

— Żegnaj, Brady.

Odłożyła szybko słuchawkę, żeby nie zdążyć zmienić zdania. Położyła się na łóżku i schowała pod kołdrę.

Czuła się jak człowiek, który paznokciami kurczowo trzyma się na brzegu wysokiego skalistego urwiska, w tej sytuacji oznaczało ono życie. Była przekonana, że postąpiła właściwie, ale nie ustał rozdzierający, kłujący ból przesywający i tak już krwawiące serce.

W końcu zmusiła się, żeby wstać z łóżka i wziąć prysznic. Wymazała z pamięci wspomnienie tamtego prysznica, odkręciła wodę zimną aż do granic wytrzymałości. W chwilę później, pokrzepiona, owinęła się w aksamitny szlafrok i wróciła do sypialni. Nie zdziwiła się, zobaczywszy siedzącą na tarasie i popijającą kawę CeCe. Odwiedzały się w domach od dzieciństwa.

— Witaj — rzekła CeCe. — Późno dziś zaczniesz dzień. Nie czujesz się dobrze?

Marissa podeszła do ustawionego na stole srebrnego serwisu do kawy i naląła drugą filiżankę. Po pierwszym łyku wspaniale naparzonej kawy zdecydowała się odpowiedzieć CeCe.

— Miałam po prostu ochotę na leniuchowanie. Co nowego?

— Musiałam zrobić kilka ostanich poprawek w sukience, w której wystąpię dziś wieczorem. — CeCe cała promieniała. — Poczekaj, aż zobaczysz!

— Nie byłam z tobą przy jej kupowaniu? — zapytała zdziwiona. Nie mogła wyobrazić sobie, żeby CeCe kupiła coś bez niej. Zawsze razem robiły zakupy, dużo kupowały.

— Byłaś w Arkansas.

— Aha.

— Wtedy nie sądziliśmy jeszcze, że będziesz z powrotem na dzisiejszy wieczór.

Marissa usiadła na krześle naprzeciwko CeCe.

— Fakt.

Wypiła łyk kawy, mając nadzieję, że jej umysł zacznie w końcu funkcjonować. Życie przed wyjazdem — zobowiązania towarzyskie i wysiłek, jaki zawsze wkładała w to, aby być dobrze ubrana — wydawały się tak odległe. A przecież tak było niecałe dwa tygodnie temu.

— Z kim idziesz dzisiaj? — spytała CeCe konspiracyjnie.

Wiedziała, o co CeCe pyta, ale zwlekała z odpowiedzią, ponieważ nagle ujrzała życie, jakie było przed nią. Następujące po sobie prośzone obiady, przyjęcia, komitety i kluby zobaczyła przed sobą jak pusty tunel. Mogła tylko pozazdrościć CeCe entuzjazmu do życia.

— Ide sama — oznajmiła. — Odkąd wróciłam, nie widziałam się z nikim i z nikim nie rozmawiałam.

— Przestań! — CeCe odstawiła filiżankę tak gwałtownie, że wylała trochę kawy. — A Brady McCulloch? Byłam pewna, że przyjdiesz z nim.

— Nie. — Starła się, by jej głos brzmiał nonszalancko. — Pojechał z powrotem do Arkansas.

— Fatalnie — stwierdziła rozczarowana CeCe. — Ale, Marisso, przecież jest wielu mężczyzn, którzy byliby zachwyceni, gdybyś zechciała z nimi pójść. Po prostu zadzwoń.

— Nawet nie jestem pewna, czy pójdę.

— Ależ musisz. To znaczy, nie iść, kiedy cię tu nie ma, to inna sprawa. Ale jesteś w mieście, więc musisz przyjść.

Marissa starała się zrozumieć logikę CeCe i pomyślała, że dwa tygodnie temu nie miałyby z tym kłopotu.

— Z kim ty idziesz?

— Z Edwardem McCarthy. Tylko, że Jane zachorowała, więc ja muszę pomóc dopilnować, aby przygotowano rzeczy do aukcji i dlatego muszę być na miejscu wcześniej. Powiedziałam mu, że przyjadę własnym samochodem i tam się spotkamy. — CeCe uśmiechnęła się nagle do jakiejś myśli. — Może wpadnę po ciebie? Mogłabyś nam pomóc.

— Lepiej nie, CeCe.

— Ale przyjdiesz, tak? Wiesz, że nie musisz mieć eskorty.

— Wiem... zobaczę.

CeCe popatrzyła na nią w zamyśleniu.

— Zmieniłaś się od powrotu. Ale nie wiem, dlaczego. Marissa potrząsnęła głową.

— Wcale się nie zmieniłam. Chociaż czasami chciałabym, żeby tak było. Powiedz, jakie jeszcze masz plany na dzisiejsze popołudnie?

— Jestem umówiona z fryzjerem — spojrzała na zegarek. — Och, muszę pędzić. — Zerwała się, a potem zatrzymała nagle i spojrzała na Marissę. — Wiesz, że jak będziesz mieć jakiś problem, to jestem tu, żeby ci pomóc. Pamiętasz o tym?

— Pamiętam, CeCe — szepnęła wzruszona. — Dziękuję.

Popołudnie ciągnęło się Marissie nieznośnie. Żadne z dotychczasowych zajęć nie pociągało jej. Zastanowiła się, czy może nie zrobić zakupów, ale nie potrzebowała niczego nowego.

Brady nie odezwał się.

Spędziła trochę czasu przy biurku, przeglądając kalendarz na nadchodzące miesiące i sprawdzając akta dotyczące różnych organizacji dobroczynnych, dla których pracowała. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

A Brady ciągle się nie odzywał.

Myślała też, żeby pójść do salonu piękności, uczesać się i zrobić manicure, ale zdecydowała, że nie ma ochoty przebywać wśród ludzi. W

końcu sama polakierowała sobie paznokcie, umyła włosy i doszła do wniosku, że jest samotna.

Była zadowolona, że Brady posłuchał jej rady i pojechał do domu. Dzisiejsza aukcja połączona z obiadem zaczęła ją powoli nęcić, szczególnie, jeśli wzięła pod uwagę perspektywę samotnego spędzenia wieczoru.

Postanowiła włożyć coś jasnego i wyrafinowanego, coś, co pomogłoby jej poczuć się jak dawniej. Przeszukawszy wszystkie szafy, znalazła odpowiednią suknię.

Suknia z czerwonej jedwabnej krepy była ciasno dopasowana, głęboko wycięta i miała małe, odsłaniające ramiona rękawki. Opinała ciało aż do kolan, a dalej spływała luźno na podłogę. Dramatyczności dodawał ciągnący się z tyłu tren. Suknia była jakby stworzona na tę okazję.

Ciemne włosy upięła elegancko na szyi, uszy ozdobiła dużymi trójkątnymi kolczykami z czerwonymi kamieniami, na nogi włożyła czerwone, satynowe pantofle na wysokich obcasach — i poczuła się gotowa stanąć twarzą w twarz ze światem. Czując dookoła zapach swoich ulubionych perfum, zgasła światło w sypialni i poszła przez ciemny dom do drzwi frontowych.

Sprawdziła, czy w wieczorowej torebce są kluczyki do samochodu, otworzyła drzwi i wyszła. Zatrzymała się nagle. Brady stał przed domem, oparłszy łokieć o swojego jeepa.

Obrzucił ja wzrokiem.

— Chyba już kiedyś ci mówiłem, że potrafisz wszystko dobrze nosić, niezależnie od tego, co masz na sobie, ile tego jest. — Oderwał się od samochodu i wszedł po schodach. Każdy jego krok zdradzał potężną siłę. — Właściwie zatykasz mi dech w piersiach, niezależnie od tego, w co jesteś ubrana, ale ta suknia jest, .., jest... — Zmarszczył czoło. — Jesteś właściwie goła. Dlaczego nie włożyłaś płaszcza?

— Chyba po prostu nie myślałam. Wrócę i założę coś, Brady. Sądziłam, że pojechałeś do Arkansas.

— Tak? — Schylił się i przycisnął usta do jej szyi. — Mmm. Pięknie pachniesz. Co to za perfumy?

Serce zaczęło łomotać, jak zwykle, gdy się do niej zbliżał.

— Nieważne. Brady, właśnie wychodzę.

— Wiem. Idziesz na jakieś dobroczynne przyjęcie, czy coś. Jestem tu, żeby cię zabrać.

— Zabrać mnie? Nie możesz!

— Dlaczego? Twoja przyjaciółka CeCe zaprosiła mnie. Powiedziała też, że potrzebujesz eskorty.



Zacisnęła zęby.

— Myliła się. Brady, myślałam, że wyraziłam się dość, jasno dziś rano przez telefon, ale...

Ujął ją za ramiona i, przycisnął do siebie z taką siłą, że na moment straciła oddech.

— Nie zwracaj tym swojej pięknej główki. Wyraziłaś się krystalicznie jasno. Tylko że ja po prostu nie przyjmuję tego, co powiedziałaś, przynajmniej na razie. — Nie dał jej szansy zaprotestowania, tylko ciągnął dalej twardym, bezkompromisowym głosem: — Być może jestem głupcem. Część mnie każe mi uciekać pędem pod moją górę i zapomnieć, że kiedykolwiek wyciągnąłem z burzy na wpół utopioną kobietę. Druga część mnie, Marisso, mówi jednak: „zostań z nią”. — Zacieśnił uścisk. — Ta część mnie mówi, że jeszcze nigdy, z żadną kobietą nie czułem tego, co z tobą. Jestem tutaj. Zostaję. Pogódź się z tym, bo nic nie możesz zrobić. Wezwiesz policję?

— Nie, ja... — Była zbyt oszołomiona, by zebrać myśli.

— Dobrze. — Puścił ją, zdjął kurtkę i okrył jej ramiona. — Stworzysz nowy kierunek w modzie. — Sięgnął za nią i zatrzasnął drzwi domu.

Prowadził ją do jeepa i dopiero w połowie drogi odzyskała zmysły.

— Poczekaj chwilę. — Zatrzymała się. Był ubrany w zwykłe džinsy, granatową koszulę bez krawata i sportowe buty. Niewątpliwie był pociągający, niesamowicie seksowny, ale ubiór ten nie był odpowiedni na przyjęcie. — Nie możesz tak iść — stwierdziła stanowczo. — Obowiązuje strój wieczorowy.

Nagły błysk w oczach Brady'ego zbił ją z tropu.

— Nie myślisz chyba, że mnie źle przyjmą?

— Nie, po prostu... nie będziesz tam pasował.

— Myślisz, że mnie wyproszą?

— Oni... — Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Co jej przychodziło do głowy? Uśmiechnęła się na samą myśl, jak była niemądra. Nie mogła sobie wyobrazić, aby jakikolwiek gospodarz lub gospodyni nie chcieli gościć Brady'ego McCullocha, niezależnie od okoliczności.

— Nieważne. Zapomnij o tym. Odwzajemnił jej uśmiech.

— Dobrze.

Podczas gdy coraz więcej ludzi otaczało Brady'ego, Marissa odpychana była coraz dalej. W pewnym momencie Brady przez tłum chwycił jej rękę i przyciągnął z powrotem do siebie.

— To wielki zaszczyt dla nas, że jest pan tu dziś wieczorem, panie McCulloch — oświadczyła jedna z matron, szczęśliwa, że jego obecność dodała całej imprezie splendoru.

— Brady, proszę mówić Brady — odparł czarująco.

— To ja go zaprosiłam — wtrąciła się CeCe, zadowolona z siebie i rzeczywiście wspaniale wyglądająca w czarnej błyszczącej sukni.

— Szkoda, że nie wiedzieliśmy. Przygotowalibyśmy coś specjalnego — zmartwiła się gospodyni.

— Wolę być raczej zwykłym gościem, zapewniam panią. Dziennikarka zaproszona, aby opisać aukcję, przedzierała się przez tłum.

— Panie McCulloch, nikt nie pamięta, kiedy ostatnio widziano pana publicznie. Czy jest jakiś specjalny powód pana obecności tutaj?

— Właściwie tak. — Marissa stanęła nieruchomo, a Brady uspokajająco uściśnął jej dłoń. — Pomoc dla utalentowanych, lecz niepełnosprawnych studentów jest chyba wystarczającym powodem.

— Oczywiście. — Policzki dziennikarki pokrył rumieniec podniecenia. Mocniej zacisnęła palce na magnetofonie. Miała materiał na interesujący artykuł. — Mógłby pan opowiedzieć, dlaczego zniknął pan piętnaście lat temu? Czytelnicy byłiby niezmiernie ciekawi. Wyglądał na lekko rozbawionego.

— To przeszłość. Jestem pewien, że pani czytelnicy są zbyt wrażliwi i inteligentni, aby chcieć dociekać przyczyn prywatnej decyzji.

Rumieniec na policzkach dziennikarki przybladł.

— Czy w takim razie może pan powiedzieć coś o swojej pracy? Jakie są pańskie plany na przyszłość?

Uśmiechnął się.

— Nigdy nie mówię o tym, co będę rzeźbił.

— Rozumiem — zbladła już na dobre. — Przypuszczam, że nie ma pan również ochoty wypowiedzieć się na temat ewentualnego przeniesienia się do Dallas?

— Dallas to piękne miasto. Każdy chciałby tu żyć. Wysoki, przystojny mężczyzna torował sobie drogę przez tłum.

— Przepraszam wszystkich. Przepraszam. Czas zająć miejsca. Przepraszam. Proszę już o odnalezienie swoich stolików. Dziękuję. Dziękuję. — Zanim dotarł do Brady'ego i Marissy, tłum dokoła nich już się przerzedził. Z szerokim uśmiechem wyciągnął rękę do Brady'ego. — Nazywam się Paul Garth, jestem przyjacielem Marissy. Miło mi pana poznać.

— To mnie miło poznać jednego z przyjaciół Marissy — odparł Brady, podając mu rękę.

— Cześć, Marisso — powiedział Paul.

— Cześć.

— Przyrowadzenie Brady'ego było śmiałym posunięciem towarzyskim, Marisso.

— Właściwie, Paul, to on przyrowadza mnie.

— Ach, tak — Paul spojrział na Brady'ego. — Zdaje się, że mogę panu podziękować za ocalenie Marissie życia. Brady zawahał się, ale Marissa wtrąciła:

— Wiedziałeś, Paul?

— Nie, aż do chwili, gdy zobaczyłem was razem dziś wieczorem, a umiem dodawać dwa do dwóch.

— W każdym razie, zachowaj to dla siebie — mruknęła. Paul uśmiechnął się do Brady'ego.

— Świetnie. Materiał do szantazu. Czy zechcecie usiąść przy moim stoliku? Kathy chciałaby pana poznać.

— Kathy to żona Paula — wyjaśniła Marissa, wyciągając jednocześnie szyję, aby lepiej rozejrzeć się po wielkiej sali balowej w hotelu. — Gdzie jest CeCe? Na pewno liczy na to, że usiądziemy przy jej stoliku. To jej zawdzięczamy, że Brady tu jest. Im częściej opowiada tę historię, tym jest ona barwniejsza. Przed końcem wieczoru usłyszymy na pewno, że osobiście udała się do Arkansas, wrzuciła go do samochodu i przywiozła tutaj.

Obaj mężczyźni roześmiali się, a potem Paul powiedział:

— To cała CeCe. Zdaje się, że wychodziła, aby pocieszyć dziennikarkę. Byłeś brutalny, Brady.

— Według mnie odpowiedzi były perfektem — rzekła Marissa.

Brady przyjrzał jej się uważnie. Paul chrząknął.

— Podjęliśmy jakąś decyzję co do stolika? CeCe i jej towarzysz mogą dosiąść się do naszego, jeśli o to chodzi. Brady spojrział na Marissę oczekując, co zdecyduje.

— Z przyjemnością usiądziemy przy twoim stoliku, Paul. Dziękujemy. Och, a oto pan Whitmere. Wygląda na to, że chce z tobą porozmawiać.

Z zainteresowaniem popatrzył za jej wzrokiem.

— Z Galerii Whitmere? Skinęła głową.

— W takim razie koniecznie trzeba się z nim przywitać. Paul, za chwilę dołączymy do was.

Marissa poprowadziła Brady'ego w drugi koniec sali, gdzie stał Whitmere i dokonała prezentacji.

— Pani Berryman, nie powiedziała mi pani, że zna pana McCullocha. To taki zaszczyt Muszę panu powiedzieć, bo nie jestem pewien, czy pan wie, iż mamy dwie pańskie rzeźby w galerii. Mieliśmy trzy, ale z przyjemnością sprzedałem jedną pani Berryman. Zainteresowanie, jakie pan wzbudza... i teraz mamy tu pana w mieście.

Brady przerwał mu.

— Ma pan Trzy jelenie i Matkę ze śpiącym dzieckiem, tak?

Whitmere przytaknął.

— Wspaniałe, potężne. — Potrząsnął głową. — Jest pan naprawdę wielkim...

— Chciałbym ubić z panem interes. Jeśli pośle pan po Matkę ze śpiącym dzieckiem i dostarczy ją tu jeszcze przed aukcją, zastąpię ją dwiema innymi rzeźbami.

Whitmere patrzył na niego w osłupieniu.

— Chce pan co?

— Chciałbym podarować te rzeźbę na rzecz aukcji.

— Zdaje pan sobie sprawę, ile ona jest warta? — z niedowierzaniem spytał Whitmere.

Brady wykrzywił usta.

— Bardzo dobrze zdaję sobie sprawę, mogę pana zapewnić.

— No, nie wiem... Dwie rzeźby, powiedział pan?

— Tak i zapewniam, że będą to rzeźby o równej lub nawet większej wartości niż ta. No, a poza tym odda mi pan wielką przysługę, będę pańskim dłużnikiem.

Whitmere szybko doszedł do siebie.

— Zaraz wyślę kogoś po rzeźbę. Boże, nie mogę w to uwierzyć, że McCulloch będzie dziś licytowany na aukcji. — Odchodząc szepnął do siebie: — Czekać, aż tłum się o tym dowie. Oszaleją.

— Na pewno chcesz to zrobić? — spytała Marissa. Uśmiechną się szeroko.

— Ty nie?

Odkryła, że szare oczy Brady'ego są piękne, kiedy gości w nich radość. Westchnęła. Gdyby pozwoliła mu na to, mógł pokonać ją z łatwością. Przybrała oficjalny ton.

— Twój dar będzie miał duże znaczenie dla funduszu stypendialnego, Brady. Dziękuję.

Podniósł jej rękę do ust i ucałował.

— Dziękuję, że pozwoliłaś mi towarzyszyć sobie dziś wieczorem.

Zacisnęła usta.

— Pozwoliłam? Czyżbym coś przeoczyła? Uśmiechnął się.

— Mógłbym tak stać tutaj całą noc i patrzeć na ciebie. Jesteś nieprawdopodobnie piękna.

Odwróciła się do tłumu ludzi.

— Chyba zaraz zaczną podawać do stołu. Powinniśmy znaleźć stolik Paula.

— Cokolwiek pani rozkaże, pani Berryman.

— Brady...

Przez ostatnie parę minut obserwował grę najróżniejszych emocji na twarzy Marissy. Teraz wydawała się zmartwiona.

— Tak? — zapytał łagodnie.

— Myślałam, że kontrolowałeś wywiad z wielką finezją, ale tak naprawdę byłeś wściekły, prawda?

— Bardzo.

— Zdajesz sobie sprawę, że to była dziennikarka z kroniki towarzyskiej? Jeśli zostaniesz w mieście, znajdą cię inni, którzy tak łatwo nie popuszczą.

— Dam sobie radę. Jestem innym człowiekiem niż piętnaście lat temu. Bardziej zrównoważonym i pewnym siebie.

— Powiedziałaś CeCe, że nie lubisz przyjąć.

— Bo nie lubię, szczególnie takich dużych jak to. I nie cierpię rozgłosu, i jak robią mi zdjęcia. Rozumiem, dlaczego ludy prymitywne uważają, że aparaty fotograficzne mogą ukraść ich dusze. Ale wiem też, że zawsze mogę tego uniknąć.

— Tym razem zrobiłeś to z wdziękiem.

— Nie byłem pewien, czy mi się uda. Kiedy tłum zaczął nas otaczać, najpierw przeraziłem się. Nie było to przyjemne.

— Nie zdradziłeś się niczym.

Położył rękę na nagim ramieniu Marissy i miękko gładził jej jedwabistą skórę.

— Tak bardzo chciałem być tu z tobą, że postanowiłem dać sobie radę ze wszystkim.

Zesztywniała wyczuwając, że chce powiedzieć coś, czego ona nie chce usłyszeć.

— Ale okazało się, że nie było tak źle, prawda? Wypadłeś bardzo dobrze.

— Bo chciałem zostawić za sobą przeszłość. Ty też możesz to zrobić, Cokolwiek to jest, Marisso.

— To nie fair — wyszeptała.

— Przecież nawet jeszcze nie zacząłem.

## ROZDZIAŁ 10

W czasie obiadu Brady, niczym barbarzyński ksiązę, przyciągał ludzi swym nęcącym czarem. Marissa obserwowała go z niepokojem. Znała jego dobroć, męskość i seks. Ale nigdy nie pokazał jej tego magnetycznego czaru i nie ufała temu.

Na początku aukcji, kiedy ogłoszono, że tego wieczoru do licytacji zgłoszono rzeźbę McCullocha Matka ze śpiącym, dzieckiem, podniecenie zaczęło wzrastać.

— Powiedz, kiedy zobaczysz coś, co ci się spodoba — powiedział cicho Brady, tak żeby tylko ona słyszała. — Kupię ci to.

Leniwie rzuciła okiem na prezentowane futro.

— Nie chcę.

— Co odrzucasz, futro czy moją propozycję kupienia ci czegoś?

— I to, i to.

Rozejrzał się po sali wypełnionej ludźmi, którzy mogli pozwolić sobie na zakup dziesięciu takich futer, gdyby chcieli, ale chętnie podbijali cenę.

— To na szczytny cel, Marisso.

— Wyślę im czek.

— Och. Zimno. Zimno. Nic dziwnego, że nazywają cię Królową Śniegu towarzystwa w Dallas. Jeśli się jeszcze trochę postarasz, to już nikt nie przebije się przez tę skorupę. Teraz zdaję sobie sprawę, jak trudno do ciebie dotrzeć.

Zwróciła na niego zimne, ametystowe oczy.

— Więc nie próbuj.

— A usuwacz zmarszczek twarzy? Zamrugła oczami.

— Słucham?

— Usuwacz zmarszczek twarzy. Futro kupiła ta para przy stoliku dwadzieścia pięć, teraz licytują usuwacz zmarszczek. Nigdy nie wiadomo, Marisso. Za parę lat możesz żałować, że nie pozwoliłaś mi kupić tego dla ciebie.

W innych okolicznościach wybuchnęłaby śmiechem. Ale Brady bardzo starał się wyprowadzić ją z równowagi i czuła, że nerwy dają o sobie znać. Wypiła duży łyk wina.

— Przeżyję to.

Ku obopólnemu zadowoleniu, kupujących i komitetu stypendialnego, licytowano kolejne przedmioty. Brady ciągle komentował to, co się działo na sali. Marissa robiła wszystko, co było w jej mocy, aby nie dać się

sprovokować. Ale kiedy gwizdnął cichutko, nie mogła się powstrzymać od pytania.

— Co to jest?

— Asystent licytatora przyniósł właśnie naszyjnik, który świetnie pasowałby do twojej sukni.

Zaciekawiona, spojrzała na scenę. Misternej roboty złoty naszyjnik miał na środku jeden rubin. Chcąc nie chcąc — zainteresowała się nim.

— Jest niezwykle.

— Niezwykle? Pogański. Będziesz go mieć. — Podniósł rękę, włączając się do licytacji.

— Co robisz? — syknęła. Nachylił się do niej.

— Powiedziałem ci. Mam zamiar kupić ci ten naszyjnik, ale nie dlatego, że pasuje do sukni — powiedział cichutko.

Straciła kontrolę nad tym wieczorem już w chwili, kiedy otworzyła drzwi frontowe i zobaczyła Brady'ego, stojącego przy swoim jeepie. Zafascynowana i przerażona czekała, co powie.

— Ten naszyjnik przypomina biżuterię, jaką nosiły starożytne kobiety na Krecie. Klimat był gorący i kobiety ubierały się w obcisłe spódniczki z przejrzystego materiału. — Kontrolował przebieg licytacji i znów podniósł rękę. Ale nie odwracał uwagi od Marissy. — Nagie piersi uważały za znak kobiecego piękna i przyciemniały sobie sutki mieszanką zrobioną z soku jagód i olejków eterycznych. — Przerwał, aby spokojnie podbić cenę i kontynuował: — Zawsze zastanawiałem się, czy robiły to, aby wzmocnić kolor sutków, czy aby ich kochankowie czuli słodki smak. Jak myślisz?

Zrobiło jej się gorąco. Nie mogła dać się uwieść jego słowom.

— Brady...

Dał licytatorowi kolejny znak, a Marissa poczuła się jak odurzona. Cena naszyjnika rosła, liczba chętnych na jego kupno malała. Pozostał tylko Brady i jeszcze jeden mężczyzna. A on ciągle szeptał jej do ucha.

— Oczywiście, ty możesz doprowadzić do szaleństwa, nie robiąc żadnej z tych rzeczy. Kiedy wczoraj w nocy szłaś do mnie tylko w pantoflach, pończochach, majtkach i pasku, piersi kołysały ci się tak delikatnie... sutki sterczały... — Podniósł głowę. — Wygrałem.

— Gratulacje, Brady — powiedział przez stolik Paul.

— Marisso, ależ z ciebie szczęściara! — rzuciła promiennie CeCe.

— CeCe!

— Och, przepraszam, założyłam z góry, że...

— Dobrze założyłaś — przerwał jej Brady. — Naszyjnik będzie pięknie wyglądał na Marissie. Właściwie już nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł to sprawdzić prywatnie.

Kathy spojrzała na nich, wyczuwając napięcie i chcąc je rozładować, oznajmiła:

— Będzie wspaniale pasował do tej sukni, Marisso.

— Myślałam, że ta suknia nie potrzebuje naszyjnika — odparła Marissa ochryplym głosem.

— Może masz rację. — Brady uważnie przyglądał się jej szyi. — Zapomnijmy o sukni. Pozwolicie, że pójde zapłacić.

„Wieczór dobiega końca” — pomyślała Marissa z uczuciem wdzięczności i ulgi. Zmusiła się do uśmiechu i postanowiła, że go utrzyma aż do końca.

Brady wrócił do stolika z czarnym futerałem, w którym był naszyjnik. Podczas gdy futerał podawano sobie wokół stołu z rąk do rąk, Brady nachylił się do Marissy.

— Zaproponowali mi, że dostarczą naszyjnik jutro, ale chciałem go już mieć na dzisiejszą noc.

Marissa starała się przez cały wieczór zachować panowanie nad sobą, ale Brady atakował ją tak, jak wtedy burza i nie była już pewna, czy może to dłużej wytrzymać.

Hałas na sali wzrastał. Goście zaczynali się rozchodzić.

— Brady, teraz twoja rzeźba — oznajmiła CeCe.

Marissa zauważyła, że Kathy zwróciła się do Paula:

— Chciałabym ją mieć. Myślisz, że cena może być za wysoka?

Paul uśmiechnął się czule do ukochanej młodej żony i delikatnie położył dłoń na jej zaokrąglonym brzuchu, w którym rosło ich dziecko.

— Cena będzie astronomiczna, ale ty i dziecko będziecie ją mieć.

Policzki Kathy zaróżowiły się lekko, kiedy spojrzała na Paula z miłością i ufnością.

Marissa widziała tylko Paula, Kathy i rzeźbę na scenie za nimi. Poczula ukłucie bólu, który na moment zapał jej dech w piersiach. Jak coś tak zimnego, że aż parzyło.

Czyżby wciąż jeszcze sprawiało jej to ból? Widziała od miesięcy, jak Kathy promienieje. Widziała, że Paul świata poza Kathy nie widział i szalał z radości, że będzie ojcem. I zaledwie dwa dni temu oglądała wspaniałą rzeźbę z drewna, która przedstawiała tak głęboką czułość i miłość.

A teraz, nagle, kiedy widziała ich oboje razem, nie mogła tego znieść...

Brady dotknął jej.



— Coś nie tak, Marisso?

— Nic. — Wymawiając to słowo, poczuła gorycz w ustach. Nic. To właśnie tyle, ile Kenneth jej zostawił.

— Zbladłaś.

Nie mogła dopuścić, aby się domyślił, że coś było nie w porządku. Długotrwały trening w kryciu swoich uczuć sprawił, że stosunkowo łatwo potrafiła się opanować. Jednak w środku pozostał okrutny ból.

— Wszystko w porządku, Brady.

Brady obserwował ją, zaintrygowany i zaniepokojony. Było oczywiste, że cokolwiek zraniło ją, było teraz ukryte pod lodowatą skorupą i znowu panowała nad sobą. Ale coś było nie w porządku, bardzo nie w porządku.

„Nigdy wcześniej tak bardzo nie odczuwałam tej straty” — myślała Marissa. Złożyła przed sobą ręce i niewidzącymi oczami patrzyła w kierunku sceny. Nigdy jeszcze nie zaznała uczucia takiego żalu, jak w tym momencie. Poczuła się tak krucha, że mogłaby się przy lada dotknięciu rozpaść na kawałki. Chciała zaszyć się w jakimś ciemnym kącie, skulić i oddać bólowi.

Ale otoczona była ludźmi. Brady siedział obok. Więc ból rósł tylko, nie znajdując ujścia.

Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie zamartwiała się. Żyła tak, jak gdyby nic się nie stało. Zakopała ten rozdzierający ból. Teraz uświadomiła sobie, że ból rósł w niej jak krzyk.

I gniew. Przeklinała Kennetha za wszystko, co jej zabrał. „

Czuła na sobie zatroskane spojrzenie Brady'ego i nie mogła znaleźć w sobie dość siły, aby rozproszyc jego obawy. Jego wzrok był jak wyzwanie dla jej i tak już napiętych nerwów. Czuła się, jakby cała była jedną krwawiącą raną.

„Nie powinno go tu nawet być” — pomyślała, zdecydowanie i chętnie przelewając swój gniew na Brady'ego. Miała nadzieję, że w ten sposób odsunie ból.

Dlaczego sala wydawała się tak ponura? Dlaczego było tu tyle hałasu? Drgnęła, gdy ktoś przy stoliku krzyknął z radości.

— Gratulacje, Paul i Kathy—usłyszała Brady'ego. — Mam nadzieję, że rzeźba będzie wam się podobać.

— Możemy cię zapewnić, że znajdzie się w dobrym domu — powiedział Paul.

— Wraz z dziećmi będziemy ją zawsze darzyć miłością — dodała Kathy.

— W takim razie to sukces. A teraz wybaczenie, Marissa i ja musimy już iść.

Poczuła, że wziął ją pod rękę. Słyszała, jak ludzie mówili jej „dowidzenia”.

— Do widzenia — mruknęła.

— Zadzwoń do mnie jutro — zawołała CeCe.

— Jutro — powiedziała.

Brady poprowadził ją do drzwi. „Jej skóra jest tak zimna — myślał z troską. — Co mogło ją aż tak zaniepokoić? Może przesadziłem?”

Każdy chciał zamienić z nim parę słów. Odpowiadał roztargniony i szedł dalej, ciągle upewniając się, że Marissa idzie za nim. Rzucił niecierpliwe spojrzenia, gdy młoda kobieta w szatni szukała jego kurtki. Zapłacił trzy razy tyle, co zawsze, aby mieć pewność, że nie będzie zwłoki z przyprowadzeniem jego jeepa przed hotel.

Przez całą drogę do domu kątem oka obserwował Marissę. Siedziała sztywna, z pustym wyrazem oczu, blejsza niż kiedykolwiek.

Przed domem wyjął z jej drżących rąk klucze i otworzył drzwi. Bez słowa minęła go i weszła do środka. Poszedł za nią, zostawiając futerał z naszyjnikami na stolyczku w hallu. Dogonił ją w salonie.

Chcąc pocieszyć, przytulił Marissę do siebie.

— Marisso, kochanie, o co chodzi? Porozmawiaj ze mną. Co się stało na przyjęciu?

Pomyślała, że chce ją złapać w pułapkę. Była bliska załamania. Chciała go odepchnąć.

— Nie.

Brady zacieśnił uścisk i Marissa poczuła, że coś zaczyna w niej pękać.

— Uspokój się — powiedział miękko, tkliwie. — Powiedz, jak mogę ci pomóc.

Łzy polały się z oczu Marissy i popłynęły po policzkach. Walczyła z nim, bijąc pięściami jego pierś. Z obawy, aby nie zrobiła sobie krzywdy, puścił ją. Ale został blisko.

— Musisz się uspokoić, Marisso. Zrobisz sobie krzywdę.

— Krzywdę? Co ty wiesz o krzywdzie, a zwłaszcza o mojej krzywdzie?

— Więc powiedz mi o tym.

Otarła łzy z twarzy, gorączkowo szukając słów, które by zrozumiał.

— Powiedziała ci, jak mogłeś mi pomóc, ale ty nie słuchałeś. Musisz wyjechać. Czyż nie powtarzałam ci tego w kółko?

— Powtarzałaś.

— Więc jedź, na Boga!

Wyciągnął do niej rękę, ale nie próbował jej dotknąć.

— Marisso, byłaś zraniona, kiedy weszłaś w moje życie. Pomogłem ci wyleczyć się i zakochałem się w tobie bardziej niż sobie wyobrażałem, że jest to w ogóle możliwe. Ale zaskoczyła mnie zmiana, jaka w tobie zaszła, kiedy odzyskałaś pamięć. Teraz rozumiem. W przeszłości ktoś zadał ci ranę, o której nie wiedziałem, i ona ciągle krwawi. Może i te ranę mógłbym wyleczyć.

— Nie możesz.

— Pozwól mi przynajmniej spróbować.

— Nie! — Zaśmiała się historycznie. — Najlepsze, co możesz dla mnie zrobić, to wyjechać. Nie rozumiesz tego? Powoli wydychał powietrze.

— Gdybym ci wierzył, może zrobiłbym tak, jak chcesz. Chociaż nie jestem pewien. Naprawdę szaleję za tobą. Nie odkryłaś tego jeszcze?

— Czego?

— Kocham cię. — Właściwie nie zamierzał powiedzieć tego tak po prostu. Teraz mógł tylko czekać, jakie wrażenie zrobi na Marissie jego wyznanie.

Stała nieruchomo, napięta i zaszokowana.

— Nie! Nie pozwól kochać mnie. Nie zaufam twojej miłości.

Przetarł oczy rękami.

— Wyjaśnij mi to.

— Nie można z tobą walczyć — oznajmiła z dzikim gniewem, walcząc ze wszystkim, co było w niej. — Więc dobrze, powiem ci to, co tak bardzo chcesz wiedzieć. Wtedy w końcu zrozumiesz i zostawisz mnie w spokoju. Powiedziałam ci, że byłam kiedyś mężatką. Pamiętasz?

Pod maską oburzenia dostrzegł ból i poczuł złość na samego siebie.

— Nie wydaje ci się chyba, że mógłbym zapomnieć o jakiegokolwiek wzmiance o mężczyźnie w twoim życiu — rzekł ostrzej niż zamierzał — nawet, jeśli należał do przeszłości.

Skinęła głową.

— Nazywał się Kenneth Wrightman. Był atrakcyjny, nawet seksowny. Miał dobry charakter i umiał mnie rozbawić. Wydawał mi się wszystkim, czego pragnęłam i zakochałam się w nim na amen. — Zaczęła chodzić po pokoju, ciągnąc za sobą jedwabny tren — Mówiłam ci, że moi rodzice go lubili?

Kiedy powiódł za nią wzrokiem, zeszywniał, przygotował się na cios.

— Mówiłaś.

Zaśmiała się oschle i jej śmiech zabolął go.

— Widziałam w tym aprobate. Zapomniałam tylko, że mój ojciec zdradzał matkę latami. Wiedziałam, czego szukałam, ale nie widziałam tego. Byłam ślepa.

— Czy to znaczy, że twój mąż interesował się innymi kobietami?

Pytanie Brady'ego dotarło do niej jak dysonans.

— Wiedziałam, na co powinnam patrzeć, ale nie widziałam tego — powtórzyła, jakby mówiła do siebie. — Na tym polegała cała ironia. Kenneth zaczął pić. Próbował jednej pracy, potem drugiej, zawsze bezskutecznie. Znajomi zaczęli dawać mi do zrozumienia, że widywali go z innymi kobietami. Pieniądze zniknęły. Próbowalam wszystkiego, ale nie mogłam go uszczęśliwić. W końcu zaczęłam się zastanawiać nad rozwodem. — Zatrzymała się i potarła ramiona. Zrobiło jej się zimno. — Ale odkryłam, że jestem w ciąży.

Poczuł dreszcze.

— Dziecko rzuciło na wszystko nowe światło — kontynuowała. — Zaczęło mi zależeć na utrzymaniu małżeństwa. Niestety, on nie odczuwał tego w taki sam sposób. Jechaliśmy samochodem. Nigdy nie mogłam sobie przypomnieć, dokąd. Dopóki nie wsiadłam do samochodu, nie zdawałam sobie sprawy, że wypił za dużo. Prosiłam go, żeby się zatrzymał, żeby pozwolił mi prowadzić. Zaczęliśmy się kłócić. I doszło do wypadku. — Powstrzymywane łzy zaczęły płynąć wielkimi kroplami po białych policzkach. — Samochód został wgnieciony wokół mnie, byłam uwięziona. Błagałam go, żeby mi pomógł. Ale on nawet na mnie nie spojrzął. Po prostu wysiadł z samochodu i odszedł. Poroniłam w drodze do szpitala.

Nogi ugięły się pod nią i osunęła się na najbliższy fotel.

— Mam nadzieję, że powiesili tego drania — syknął Brady.

Oparła głowę o oparcie fotela i patrzyła na niego zwięzonymi zamglonymi oczami.

— Okazało się, że wypadek nie był z jego winy. Zdaje się, że inny kierowca jechał na czerwonym świetle. Wszystko było w porządku. Moi prawnicy wzięli sprawę w swoje ręce i nigdy więcej nie widziałam już Kennetha.

Teraz już wiedział, z czym walczył przez cały czas. Podeszedł do niej.

— Tak wiele przeszłaś, Marisso. Rozumiem, dlaczego nie chciałaś jeszcze raz ryzykować miłości. Ale ja nie jestem twoim byłym mężem. — Nawet dla jego własnych uszu nie brzmiało to przekonująco. — To znaczy...

Znużona, potrząsnęła głową. — Przestań próbować, Brady. To na nic się nie zda. Zbyt dużo straciłam tamtej nocy.

— Ale to było dawno. Twoje serce miało czas, aby zagoić rany.

— Zagoiło się. Zarastało blizną, aż się zamknęło.

— Nie zagoiło się, tylko zamknęło. Ból ciągle w nim jest. Dlatego walczyś tak ciężko, ale kiedy byłaś w Arkansas, zakochałaś się we mnie.

— Ale kiedy przypominałam sobie, dlaczego nie mogę wierzyć swej umiejętności oceniania ludzi, nie pozwoliłam sobie na to, aby cię kochać.

Pochylił się i oparł ręce o oparcie fotela, na którym siedziała. — Popełniłaś błąd, zapłacałaś za to i dlatego nie chcesz uwierzyć, że ja cię nie skrzywdzę. To śmieszne.

Odepchnęła go gwałtownie i wstała.

— Upraszczaś sprawę. Zdawało mi się, że powiedziałeś, że rozumiesz.

— Rozumiem.

Podniosła do góry palec.

— Posłuchaj mnie, dla swojego własnego dobra. Ludzie, którzy się kochają, mają do siebie zaufanie. Widziałam to dzisiaj pomiędzy Paulem i Kathy. Mam powody, żeby wierzyć, że jesteś dobrym człowiekiem, ale już raz to, że nie poznałam się na mężczyźnie, doprowadziło do tragicznych skutków. Dlatego, przykro mi, Brady, ale nie mogę zawierzyć sobie, żeby zaufać tobie.

— W Arkansas mi ufałaś. To dowodzi, że potrafisz. Nie możesz dłużej pozwalać, aby przeszłość uniemożliwiała ci normalne życie.

— Nie rozumiesz? — zapytała spokojnie. — Przecież to właśnie chciałam powiedzieć. Nie mogę tego zrobić. Nie zrobię tego.

— Czy to naprawdę daremne? Straciłem cię naprawdę?

Głęboki, pulsujący ból zaatakował jej serce.

— Nigdy naprawdę mnie nie miałeś, Brady. Ciężko skinął głową i odszedł parę kroków. Wierzył tak bardzo, że potrafi zmienić jej decyzję. Teraz czuł tylko pustkę.

Patrzyła na niego, wiedziała, że postąpiła właściwie i zastanawiała się tylko, dlaczego serce bolało ją z każdym uderzeniem bardziej.

Zadzwonił telefon. Dopiero po czterech dzwonekach przyszło jej do głowy, aby go odebrać. Podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

— Halo?

— Tu sierżant Bill Robbins z policji w Dallas. Chciałbym rozmawiać z panią Marissą Berryman.

— To ja.

— Proszę pani, Cecilia Kavanaugh miała wypadek i jest w szpitalu. W portmonetce znaleźliśmy pani nazwisko i numer telefonu. Czy pani jest krewną?

Marissa zamarła.

— CeCe? Co jej jest?

— Jest nieprzytomna, proszę pani. Lekarze w szpitalu powiedzą pani więcej. Czy ma jakichś krewnych, z którymi mógłbym się skontaktować?

Dotknęła dłonią czoła, starając się przewyciężyć zawrót głowy. Mgliście poczuła, że Brady podszedł i stanął przy niej.

— Jej rodzice są w Europie, ale ja zaraz przyjadę do szpitala.

Rzuciła słuchawkę.

— Muszę jechać do szpitala.

— Słyszałem. Zawiozę cię.

— Mogę jechać sama — powiedziała automatycznie.

— Wiem, że możesz, ale nie musisz.

RS

## ROZDZIAŁ 11

Bezosobowość szpitala stała się częścią koszmaru, jaki otoczył Marissę. Wszystko było aseptyczne, jałowe i użyteczne. Zdawało się, że tylko kolorowe czasopisma dodawały otoczeniu jakiegoś realnego kolorytu. „Tu jest jak u mnie w domu” — myślała tępo.

— Marisso — mruknął Brady.

— Co?

— Pielęgniarka właśnie zadała ci pytanie.

— Przepraszam.

Pielęgniarka uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Spytałam, czy zna pani może historię chorób Cecylii Kavanaugh.

— Częściowo. — Potarła brwi, próbując się skupić. — Miałymy razem odrę w wieku sześciu lat. W siódmym roku życia zaraziła się ode mnie świnką. Od tego czasu nie chorowała na nic poważnego, jestem pewna. Była zupełnie zdrowa, dziś wieczorem... — Poczula rękę Brady’ego na ramieniu.

— Wie pani może, czy jest na coś uczulona? — zapytała pielęgniarka.

— Nie, na nic nie jest uczulona. Zawsze była taka zdrowa. Proszę mi powiedzieć, w jakim CeCe jest stanie?

— Nic właściwie nie wiem, ale zaraz przyjdzie lekarz. Brady uściśnął ramię Marissy.

— Będziemy w poczekalni — poinformował pielęgniarkę. — Proszę powiedzieć o tym lekarzowi.

Zaprowadził ją do sofy obitej brązową skórą i usiadł obok.

— Nie rozumiem — szepnęła Marissa. — Dlaczego CeCe? Ona nikogo nie skrzywdziła.

— Wyzdrowieje. Musisz to sobie ciągle powtarzać.

— Ale co mogło się stać? Widzieliśmy ją godzinę temu. Wypiła najwyżej kieliszek wina. I zawsze jeździła bardzo ostrożnie.

— Nie zawsze jesteśmy w stanie zapanować nad tym, co się dzieje, Marisso. Powinnaś o tym wiedzieć.

Za rogu wyszedł ubrany na biało lekarz. Miał poważne brązowe oczy i zmęczoną twarz.

— Pani Berryman?

— Tak. Jak ona się czuje?

— Nadal jest nieprzytomna. Zrobiliśmy rentgen i działamy antyszokowo. Skontaktowaliśmy się z dyżurnym chirurgiem. Już jest w drodze.

Zachwiała się i Brady musiał ją podtrzymać.

— Chirurg? Dlaczego?

— Pani Berryman, pani przyjaciółka jest w stanie krytycznym. Ma poważne obrażenia wewnętrzne i krwotok.

— Ale możecie to naprawić, prawda? I zatrzymać krwotok? Wyzdrowieje, prawda?

Lekarz zawahał się.

— Czy ma jakąś rodzinę?

— Powiedziałam pielęgniarce, że jej rodzice są w Europie.

— Wie pani, jak się z nimi skontaktować?

— Mogłabym zadzwonić do ich służącej, na pewno ma plan podróży.

— W takim razie, niech pani zadzwoni.

Marissa, przerażona, wpatrywała się w lekarza, poczuła, że Brady wzięła ją za rękę.

— Boże, jest aż tak źle? Lekarz przyjrzał jej się z uwagą.

— Myślę, że dobrze byłoby, aby rodzina przyjechała jak najszybciej. A teraz, wybaczcie państwo, jestem zajęty.

Głos Brady'ego zatrzymał lekarza.

— Jak tylko będzie pan coś wiedział, przyjdzie nam pan powiedzieć, tak?

Lekarz skinął głową i zniknął za rogiem. Zdrętwiała Marissa rozejrzała się dookoła.

— Gdzie moja torebka? Muszę zadzwonić do Kavanaughów.

— Nie wzięłaś torebki. Mam drobne i możesz skorzystać z mojej karty kredytowej, żeby zadzwonić do Europy.

Minęły następne dwie godziny. Marissa skontaktowała się z hotelem w Paryżu, gdzie zatrzymali się państwo Kavanaugh i zostawiła dla nich wiadomość. Wiedziała, że kiedy dostaną wiadomość, przylecą najbliższym samolotem. Byli kochającymi ludźmi. Tak jak CeCe.

Siedziała na ławce z rękami na kolanach i myślała o CeCe leżącej na stole operacyjnym, o tym, że jej życie wisiało na włosku.

— Zawsze była taka pełna życia — szepnęła, a jej oczy napełniły się łzami. — Miała domek z drewna, którym godzinami się bawiłyśmy. Czasami robiłyśmy karmelki i zabierałyśmy je ze sobą. Śmiałyśmy się i jadłyśmy, aż byłyśmy chore z przejedzenia.

Brady podsunął jej pod usta plastikowy kubek z kawą.

— Napij się.

Pociągnęła łyk słodkiej kawy.

— Jest tam sama.

— Nie, bo ty jesteś tutaj.

— Ale ona o tym nie wie. To straszne być samemu. — Zdawało się jej, że zawsze była sama.



— Zjedz trochę — powiedział, podając jej kanapkę.

Ugryzła i z powrotem usiadła na tapczanie. Brady zrobił to samo. — Nie wiem, czy mówiłam ci, że prosiła, abym z nią jechała na to przyjęcie. Chciała pojechać wcześniej, żeby pomóc przy aukcji. A ja byłam zbyt zajęta własnym problemami i odmówiłam. Może gdybym była z nią...

— To leżałabyś teraz w drugiej sali operacyjnej. Nic byś nie zmieniła — powiedział cicho. — Nie pomogłabyś jej.

— Ale może...

— Nie myśl o tym. Myśl o dobrych czasach. — Objął ją ramieniem. — Powiedz, w co zwykle się bawiłyście.

— No więc...

Położyła głowę na jego ramieniu, zamknęła oczy i myślała o czasach, kiedy razem chodziły na randki i starały się przekonać chłopaków, że są bliźniaczkami. To była zabawa. Próbowwała przypomnieć sobie, dlaczego to robiły.

Usnęła, a kiedy się obudziła, świtało. Brady ciągle ją obejmował. Delikatnie poruszyła głowę, aby zobaczyć jego twarz. Miał zamknięte oczy, jego oddech był głęboki i równy. Ręce musiały mu ścierpać — pomyślała — a jednak przez cały czas trzymał mnie w ramionach".

Była tej nocy jakby w szoku. Przez większość czasu nawet nie uświadomiła sobie tego, że Brady był z nią tutaj. Nie mówił wiele. Był troskliwy, był dobry, pokazał, że ją kocha. Dzięki niemu nie była sama.

Zamknęła oczy, zaczynając powoli rozumieć. Pamiętała dwóch mężczyzn i dwie burze. Jeden mężczyzna zostawił ją w tej burzy, drugi ocalił jej życie.

— Pani Berryman?

Otworzyła oczy i skoczyła na równe nogi.

— Doktorze, jak ona się czuje? — Sięgnęła po rękę Brady'ego, natychmiast był przy niej.

— Wszystko wskazuje na to, że Cecylia dobrze przeszła operację. Mamy podstawy do ostrożnego optymizmu.

Oparła się o Brady'ego z uczuciem ulgi.

— Dzięki Bogu.

— Proponuję, żeby państwo pojechali do domu i odpoczęli. Przyjdźcie wieczorem. Do tego czasu Cecylia się obudzi.

Łzy popłynęły jej z oczu, zanim zdążyła je powstrzymać.

— Dziękuję, doktorze. Bardzo dziękuję. Odwróciła się do mężczyzny, który był jej podporą przez całą noc.

— Brady, proszę, zawieź mnie do domu.

Stojąc w przedpokoju, ciągle ubrana w długą, czerwoną suknię, Marissa patrzyła na Brady'ego. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Pamiętając, w jakim stanie byli oboje, zanim otrzymali telefon o CeCe, rozumiała, że czuje się źle, teraz, gdy kryzys się skończył. Prawdopodobnie chciał opuścić ją, kiedy tylko będzie to możliwe, wrócić do hotelu, zabrać rzeczy i wyjechać do Arkansas. Czy w końcu udało jej się zniszczyć jego miłość? Miała nadzieję, że nie.

Luźno złożyła przed sobą ręce i spojrzała na nie. Potem spojrzała na Brady'ego.

— Chciałam ci podziękować za to, że byłeś ze mną tej nocy.

— Cieszę się, że CeCe wyzdrowieje.

Przygryzła dolną wargę. Wydawał się taki odległy, jakby już był w Arkansas.

— Jesteś głodny? Mogę obudzić Lillian, żeby przygotowała nam śniadanie.

Potrząsnął głową. Serce Marissy zamarło, ale zdecydowanie próbowała dalej.

— Nie mam pojęcia. Może spróbowałabym zrobić gofry. Jeśli mi pomożesz, na pewno coś z tego wyjdzie.

Zaproszenie to zaskoczyło Brady'ego, szczególnie wzmianka o gofrach, co oczywiście przywodziło wspomnienia słodkich czasów, tak innych od terażniejszości.

Ta noc była najgorszą nocą w jego życiu. Tak bardzo próbował do niej dotrzeć i nie udało mu się to. Zawiózł ją do szpitala, chociaż był pewien, że przez większość czasu nawet nie zauważała, że tam był. Czuł, że najlepsze — właściwie jedyne — co mógł zrobić, to pojechać z powrotem do Arkansas odpocząć, spojrzeć na wszystko z dystansu, może nawet popracować... a potem zobaczyć.

Ale dlaczego zapraszała go na śniadanie? Na pewno przez uprzejmość. Nagle poczuł, że dłużej już tego nie wytrzyma i wybuchnął:

— Zachowaj dobre maniery dla swoich przyjaciół z towarzystwa, Marisso. Nie musisz z poczucia obowiązku odgrywać przede mną roli wzorowej gospodyni. Zbyt wiele się między nami wydarzyło.

— Naprawdę chcę, żebyś został — powiedziała nieszczęśliwa, że w ten sposób zinterpretował jej zaproszenie.

Wydał cynicznie usta.

— Dziękuję, ale nie. Im szybciej wyruszę, tym lepiej. Rodzina chyba mnie nie pozna. Tak długo mnie nie było.

Ogarnęła ją panika. Musiała wymyślić coś, żeby go zatrzymać. Ale co?

— Brady, poczekaj. Chciałabym... Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił.

Przyjrzał jej się z uwagą.

— Co?

— Ja... — Myślała szybko. Zraniła go tak mocno. Potrzebował czegoś więcej niż słów. Tym razem to ona musiała być tym, kto daje. — Chce, żebyś pomógł mi odpiąć suknie. A potem chce, żebyś się ze mną kochał.

Stał nieruchomo, ale serce waliło mu jak młotem.

— Nie, Marisso. Nie rób tego.

Przez chwilę patrzyła na niego, zaczynała odczuwać porażkę. A wiedziała tylko o jednym sposobie, aby dać mu pewność.

Podeszła do Brady'ego i położyła drżące ręce na jego piersiach.

— Wiem, że proszę o dużo.

— Tak — powiedział ochryplym głosem. Wyraz jego twarzy był szorstki i nieustępliwy, ale oczy zdradzały męczarnie, jakie przeżywał. — Dlaczego o to prosisz?

— Będziesz wiedział, gdy pokochasz się ze mną.

— Nie potrzebuje twojej litości, Marisso. Nie chcę jej. Stała na palcach i przycisnęła usta do jego warg, gdy przytuliła się do niego, mógł poczuć, że go pragnie.

— Czy tak wygląda litość?

Poczuł się zagrożony. Ujął jej ręce i próbował odsunąć ją od siebie, ale złączyła ręce wokół jego szyi.

— Marisso,omalże nie straciłaś najlepszej przyjaciółki. Każdym by to wstrząsnęło. To, co teraz przeżywasz, to naturalna reakcja. Tej nocy przyszło ci otrzeć się o śmierć i dlatego chcesz teraz skosztować życia. Ale moje nerwy nie wytrzymają terapii, której byś chciała. Potrzebujesz snu, a ja muszę wyjechać.

— Wiem, czego chcę: ciebie.

Pocałowała go znowu. Tym razem udało się jej wsunąć język pomiędzy jego twarde wargi i dalej w głąb ust. Nie mogła uwierzyć w swoją bezsilność, ale ryzykowała wszystkim i tylko gorąco modliła się, żeby to zadziało.

Reakcja jego ciała była bezbłędna. Szaleństwem byłoby pozwolić dalej pozbawić się kontroli nad sobą.

— Przestań, zanim nie będziemy już w stanie przestać. — Za każdym razem, kiedy się całujemy, myślę, że nie może być lepiej, a potem, za następnym razem, znowu jest lepiej.

Najwspanialsza kobieta świata przytulała do niego swoje miękkie, ciepłe ciało, mówiąc mu, że go pragnie. Jęknął czując, że podda się, co nie byłoby dobre ani dla niej, ani dla niego.

— Zaufaj mi — szepnęła. — Postaram się, żebyś nie żałował.

Zamknął oczy, aby ukryć targające nim uczucia. Ale możliwość kochania się z nią jeszcze jeden, ostatni raz...

Postanowił przemyśleć to później. Wziął ją w ramiona i zaniósł do sypialni. Na łóżku zdjął z niej piękną suknie z czerwonego jedwabiu, znajdując pod nią coś jeszcze piękniejszego — skórę, która kuszyła, żeby ją pieścić, wygięcia, które nęciły, zagłębenia, które zapraszały.

Ale Brady spieszył się, pragnął jej jak oszalały. Chciał zagłębić się bez ograniczeń w swoje zmysły, tak aby długo to pamiętać, przez długą, samotną drogę do Arkansas.

Zatrzymała go. Powoli odpięła guziki jego koszuli. Potem koniuszkami paznokci przejechała po mięśniach jego brzucha i opuszkami palca lekko obwiodła sutki.

Wsunął ręce we włosy Marissy, aby ująć jej głowę, przyciągając jej usta z powrotem do swoich. Ale Marissa odmawiała pośpiechu. Uwolniła się z jego uścisku i powoli całowała jego obrośniętą ciemnymi włosami klatkę piersiową, szyję, szczękę.

— Co robisz, Marisso? — Głos miał tak ochryple, że ledwo można go było rozpoznać. — Czy to nowa forma tortury?

— Nie wiem — odparła, całując kąciaki ust Brady'ego i jednocześnie odpinając mu dzinsy. — Podoba ci się?

Chrapliwy oddech wydarł się z płuc Brady'ego.

— Boże, tak.

— A zatem to nie tortura.

Wsunęła rękę w dzinsy. Była rozkosznie delikatna. Jej finezja przyprawiała o zawrót głowy. Gdzieś, w jakimś kąciaku mózgu, przypomniał sobie, jak w Arkansas, kiedy się kochali, uczył ją, jak ma go pieścić. Krew pulsowała w całym ciele Brady'ego, myślał, że wybuchnie. Była pojętną uczennicą.

— Nie wytrzymam już dłużej — mruknął i szybko, gwałtownie wysliznął się ze spodni i slipek.

Marissa usiadła i zaczęła wyciągać spinki z włosów. Długa, czarna chmura opadła wokół jej głowy i na ramiona. Kiedy był już nagi, położyła się na nim.

— W naszej miłości zawsze było coś prymitywnego — szepnęła, ocierając o niego swoje aksamitne ciało powoli tam i z powrotem. — Nigdy nie myślałam, że jestem skłonna do takich uczuć.

Piersi Marissy przyłgnęły do niego, sztywno sterczące sutki muskały go, a jej gładkość w stosunku do jego szorstkości powodowała tarcie i wzniecała w nim ogień. Wiedział, że już niedługo nie będzie w stanie nad nim zapanować. Dzikie pożądanie ogarnęło całe ciało Brady'ego, opór się skończył. Przyciągnął ją do siebie, jego ręce drżały z namiętności, której intensywność przestraszyła go.

— Marisso, muszę cię mieć. Podniosła się i położyła na nim.

— Masz mnie — wyszeptwała.

Przetoczyli się po łóżku, zanurzył się w nią tak głęboko, jak było to możliwe.

A ona reagowała w taki sposób, jakby czytała w jego umyśle, jakby wiedziała, co czuł i czego potrzebuje. Jej reakcje były bardziej niż żarliwe, ogniste, namiętne. Każdym ruchem wyczuwała i spełniała jego naglące wymagania. Ciche jęki Marissy czyniły go dzikim, a ustami robiła takie rzeczy, że stawał się jeszcze bardziej dziki. Potem drgnęła i naprężyła się, tak iż myślał, że wybuchnie.

Była każdym jego życzeniem, był wypełniony miłością. Wtedy przyszło olśnienie, nagle, jak spadająca gwiazda, rozbłyskująca nagle na niebie — ona go kochała. Dłużej nie mógł się już powstrzymać.

Leżeli obok siebie wyczerpani. Ciało Brady'ego nigdy nie było tak kompletnie usatysfakcjonowane. Ale jego umysł znowu pracował. Bał się spojrzeć na Marisse, bał się, że się pomylił sądząc, że go kocha. Po tym, co przed chwilą razem przeżyli, nie wytrzymałby, gdyby go teraz odrzuciła.

— Marisso, kochasz mnie?

— Nie jesteś pewien? — spytała z wahaniem. — Miałam nadzieję, że będziesz wiedział.

Serce zabiło mu mocniej, bo pojawiła się nadzieja.

— Kochałaś się ze mną w niesamowity sposób, ale... Zaśmiała się lekko i oparła na łokciu, żeby widzieć jego twarz — taką hardą, taką kochaną.

— Ty mnie inspirowałaś.

Spojrzał na nią. Pomyślał, że gdyby pozwolił sobie na to, mógłby zobaczyć w jej ametystowych oczach tyle czulej miłości. Ale nie mógł pozwolić, aby przebłysk nadziei stał się ogniem.

— Co się stało? — spytał cicho.

Musnęła palcami ciemne włosy na jego piersi i ułożyła rękę na sercu Brady'ego.

— Wszystko między nami było takie skomplikowane, a w końcu znalazło się bardzo proste wyjaśnienie. Chciałeś przyszłości ze mną, a ja nie rozliczyłam się jeszcze z przeszłością. To, co przeżyliśmy w szpitalu, przekreśliło wahania. Byłeś tam dla mnie i w końcu mogłam przyznać się przed samą sobą, że bardzo cię potrzebuję.

— To znaczy, że możesz zaufać sobie i mnie?

Jego ciągła niepewność sprawiła jej ból. Delikatnie pogładziła jego pierś.

— Moja reakcja w Arkansas, kiedy otworzyłam oczy i po raz pierwszy zobaczyłam cię, była prawdziwa. Ufam ci bezgranicznie. A jeśli chodzi o zaufanie do siebie samej, wiem teraz, że to nie była nigdy kwestia osądu, ale wiedzy. Nie znałam Kennetha, a osąd zawodzi, kiedy brak wiedzy. Nie rozumiałam go do końca, ale ciebie znam dobrze. Nigdy mnie nie zawiodłeś i nigdy nie zawiedziesz. I ja też będę się starać, żeby nigdy ciebie nie zawieść. To znaczy, jeśli ciągle mnie chcesz.

Pociągnął ją i ułożył na sobie, czule głaszcząc jej twarz.

— Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo chcę cię mieć przy sobie przez resztę życia. — Zaśmiał się, a ona czuła w sobie wibracje jego radości. — Kocham cię całym swoim ja, Marisso.

Czuła, jakby zdjęto z niej ogromny ciężar.

— Ja też cię tak kocham. Jestem zdumiona, gdy o tym myślę. Zakochaliśmy się w sobie w jedyny sposób, jaki był dla nas możliwy. Zakochałam się w tobie, bo nie pamiętałam, dlaczego nie powinnam tego robić.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— A ja zakochałem się w tobie, bo byłaś bezbronna i wrażliwa i musiałem się otworzyć, aby ci pomóc. Kiedy to zrobiłem, nie miałem już odwrotu. I nie chciałem go. Zmieniłaś moje życie.

— Ty ocaliłeś moje.

Dreszcz wstrząsnął jego szczupłym ciałem, a ich usta połączyły się w pocałunku: długim, powolnym, głębokim. Ten pocałunek był wyrazem ich wspólnej wiary w bezpieczną przyszłość.

— Chcę, żebyśmy się pobrali na szczycie góry, o wschodzie słońca — szepnęła.

— Tak. Tak zrobimy. Jedźmy do domu. Rodin na nas czeka.

Miała w oczach łzy szczęścia.

— Dzięki Bogu, znalazłam cię, Brady McCulloch.

RS

RS